

Powiat



Nr 3-4 (230-231), Marzec-Kwiecień 2020

Rok XX * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

SŁUPSKI

COVID-19

Zlekceważony wirus

Wszyscy się boimy

Zgodnie ze standardami i potrzebami

Bałtyk nasze okno na świat

Sto lat wojny palikowej

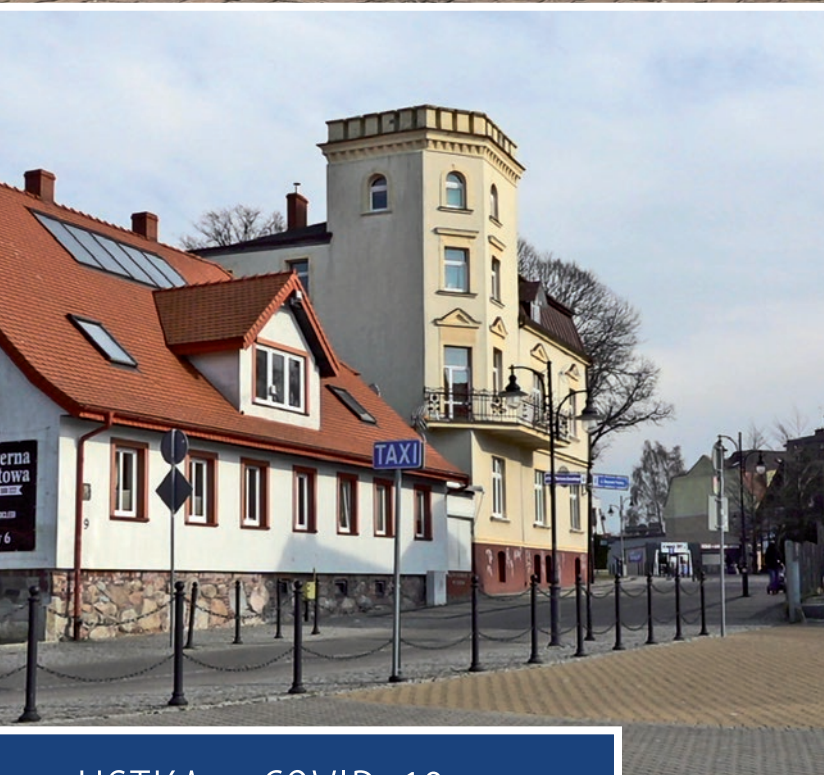
Artyści charytatywnie...

Maluje ukochany ocean

Świat stał się mniejszy

Płynie w nim słona krew

Wieś Tworząca



USTKA — COVID-19

KWIECIEŃ 2020





PAWEŁ LISOWSKI
Starosta Słupski

Powiat SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Od ponad miesiąca zmagamy się z epidemią koronawirusa, która postawiła w stan najwyższej gotowości służby medyczne, sanitarne i porządkowe, również w powiecie słupskim. Przyszło się nam zmierzyć z niezwykle trudną i całkiem nową sytuacją.

W obliczu tak dużego wyzwania samorząd powiatu słupskiego włączył się aktywnie w walkę z COVID-19 i uruchomił rezerwę kryzysową w wysokości ponad stu tysięcy złotych na zakup środków ochrony

osobistej (maseczek, rękawic, przyłbic, środków dezynfekujących), by tym samym wesprzeć w walce z epidemią nie tylko słupski Wojewódzki Szpital Specjalistyczny i służby porządkowe, lecz także pracowników transportu publicznego i jednostek powiatowych. Mieszkańców powiatu zachęcał do załatwiania spraw w starostwie drogą telefoniczną i elektroniczną.

Minione tygodnie wpłynęły zapewne na stan gospodarki regionu, dlatego zachęcam do korzystania z oferty produktów i usług naszych

lokalnych firm. Straty poniosą również samorządy. Już dziś wstrzymaliśmy niektóre wydatki. Sytuacja jest rozwojowa, trudno snuć długofalowe rozważania. Staramy się przygotować na wszystkie ewentualności.

W tym trudnym dla nas wszystkich czasie są ludzie, którzy zasługują na szczególne uznanie i wyjątkową wdzięczność. To personel medyczny, pracownicy ochrony zdrowia, pogotowia ratunkowego, służb sanitarnych, porządkowych. Podziękowania kieruję również do mieszkańców powiatu i przedsiębiorców za wszelkie ini-

cyjatywy i pomoc ułatwiającą walkę z koronawirusem.

Czoła chylę przed pracownikami sklepów, środków transportu publicznego, powiatowych domów pomocy społecznej i wieloma innymi osobami, którzy codziennie narażają swoje zdrowie, byśmy mogli w miarę możliwie normalnie funkcjonować.

Wspólnie stanęliśmy w obliczu sytuacji, której skutków do końca nie znamy. Musimy przestrzegać wszystkich zaleceń, być odpowiedzialni, ostrożni i solidarni. To wielki test dla nas wszystkich.

W numerze:

2 W walce z COVID-19

3 Pieniądze na drogi

3 Komputery dla szkół

4 Po dofinansowanie do gmin

4 Pierwsze przeszczepy szpiku

4 Czerwona Szopa przekazana

5 Stypendia kulturalne

5 Stypendia za naukę

5 Nagrody i stypendia sportowe wypłacone

6 Zlekceważony wirus

9 Wiejski pejzaż z koronawirusem

11 Wszyscy się boimy



Na początku było niedowierzanie. Sprawdzanie w różnych źródłach. Przeróżenie. Ucieczka w sen. Obudzę się i wszystko będzie po staremu...

13 Zgodnie ze standardami i potrzebami



W 2019 roku do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku wpłynęło 20 decyzji z gmin kierujących osoby do domów pomocy społecznej. Wydano – z braku miejsca tylko 13 decyzji umieszczających.

16 Bątyk – nasze okno na świat



Sto lat temu, 10 lutego 1920 roku w Pucku odbyły się symboliczne zaślubiny z morzem. Zostały zorganizowane dla uczczenia włączenia Pomorza w granice odrodzonej Polski.

18 Kocham to, co robię

19 Projekt „Latarnia”

20 Sto lat od wojny palikowej



Przed stu laty, a dokładniej 16 lutego 1920 roku dzięki tzw. wojnie palikowej udało się przesunąć granicę Polski z Niemcami na zachód od kilku do kilkunastu kilometrów.

21 Zakochany w Łupawie

22 Artyści charytatywnie, czyli koncert „Dar Serca”



Występ charytatywny w koncercie „Dar Serca” dla domów dziecka w Wilnie był poza lekcją empatii okazją do zaprezentowania się wymagającej słupskiej publiczności.

25 Maluję ukochany ocean ze zdjęć i wspomnień



Zawijaliśmy do różnych portów. Byłem w Urugwaju, w Brazylii, a nawet na Falklandach. Fotografowałem, malowałem. Wszystko

było ciekawe, niezwykle, niesamowite...

28 Na czym wzrok się zatrzymał?

29 Nic nie dzieje się przypadkiem

31 Świat stał się mniejszy...



Przyszła do mojego domu w październikowe popołudnie słupskim odcinkiem Pomorskiej Drogi Jakubowej ze Smołdzina do Rowów...

37 Płynie w nim słońce krew...



Silny wiatr i wysokie fale to jego sprzymierzeńcy, a wyścig z czasem i drugim człowiekiem to chleb powszedni...

39 Mistyczka z Pomorza



Lekarze chińscy nie byli pierwsi, którzy ostrzegali przed niebezpiecznym wirusem. Pierwszą była Światowa Organizacja Zdrowia, która już dwa lata temu zaapelowała do rządów i służb medycznych państw, by rozpoczęli przygotowywania na atak najnowszej generacji nieokreślonej jeszcze „Choroby X”.

8 Ludzka solidarność



W walce z COVID-19

W związku z nadzwyczajną sytuacją spowodowaną rozpowszechnianiem się koronawirusa SARS-CoV-2 oraz rosnącym zagrożeniem epidemiologicznym, 11 marca br. starosta słupski Paweł Lisowski w specjalnym komunikacie do mieszkańców zaapelował, aby w miarę możliwości ograniczyć załatwianie spraw administracyjnych osobiście i korzystać z dostępnych narzędzi komunikacji elektronicznej. Wkrótce trzeba było posunąć się do bardziej drastycznych kroków i już zdecydowanie ograniczyć dostęp do urzędu, przejść na zdalną pracę urzędniczą i... zdalne załatwianie spraw.

Po kilku tygodniach funkcjonowania, w całkiem nowej i trudnej dla wszystkich sytuacji, kiedy zamknięte zostały przedszkola, szkoły, uczelnie, ograniczony znacznie handel, ograniczony dostęp do placówek podstawowej i specjalistycznej opieki medycznej, zagrożona stała się działalność domów pomocy społecznej, innych placówek i instytucji, można powiedzieć, że powiat słupski jak do tej pory

trzyma się dzielenie. Przestrzegane są zalecenia bezpieczeństwa zdrowotnego. Mieszkańcy okazali się zdyscyplinowani. Przedsięwzięto daleko idące kroki w zapewnieniu podstawowych środków ochrony osobistej. W rezultacie niewiele stwierdzono przypadków zarażonych koronawirusem.



Nie trzeba było zamykać oddziałów szpitalnych, przeorganizowywać domów pomocy społecznej, innych powiatowych jednostek. Powiat zakupił środki ochrony osobistej (maseczki, rękawiczki, płyny do dezynfekcji, przyłbice), by wspomóc różne służby, instytucje oraz mieszkańców

powiatu najbardziej narażonych w obecnej sytuacji na zarażenie koronawirusem. Środki te trafiły m.in. do: Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im J. Korczaka w Słupsku, Stacji Pogotowia Ratunkowego, Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, Regionalnego Centrum Krwiodawstwa, funkcjonariuszy Policji ze Słupska i gmin powiatu, pracowników firm transportu publicznego, strażaków z jednostek OSP, Nocnej i Świątecznej Opieki Zdrowotnej w Kobylnicy, a także do pracowników Starostwa Powiatowego w Słupsku, jednostek powiatu.

W sumie z rezerwy powiatu uruchomiono na ten cel ponad 113 tys. zł. W związku z tym, iż od 3 marca na terenie województwa pomorskiego badania w kierunku koronawirusa wykonywane były tylko w Laboratorium Diagnostyki Medycznej Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Gdańsku, powiat słupski razem z miastem Słupskiem poinformowały ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego że oba samorządy są gotowe wesprzeć działania rządu w zakresie uruchomienia badań w dodatkowym laboratorium w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym

włączył się również marszałek województwa pomorskiego.

Na terenie powiatu Ośrodek Rehabilitacyjno-Wczasowy „Słowińiec” w Poddąbiu wyznaczono jako miejsce do kwarantanny zbiorowej i kierowane są do niego osoby, które muszą poddać się dwutygodniowej kwarantannie. Wystąpiono do wojewody o kombinezony ochronne dla domów pomocy społecznej. Przygotowano izolatorium na wypadek, gdyby trzeba było umieścić w nim osoby z tych domów.

Starosta słupski Paweł Lisowski z członkami zarządu zwizytował wszystkie domy pomocy społecznej, gdzie osobiście zapoznał się z ich przygotowaniem do pracy w trudnym okresie zbiorowego zagrożenia zdrowia. Dziękował za dotychczasowe zaangażowanie personelowi opiekuńczemu, dyrektorom za zapobiegliwość, zachęcał ich do pieniężnego motywowania zaangażowanych pracowników, wypłacania nagród lub premii za poświęcanie szczególnie czasu dla zdrowia innych.

Starosta zobowiązywał jednak też dyrektorów do zdecydowanego przestrzegania wszystkich zaleceń, także tych dotyczących zatrudnienia w domach kadry pracującej w innych jednostkach, w tym zwłaszcza w szpitalach i placówkach ochrony zdrowia. Podkreślał konieczność dokonywania niezbędnych zakupów dotyczących ochrony osobistej.

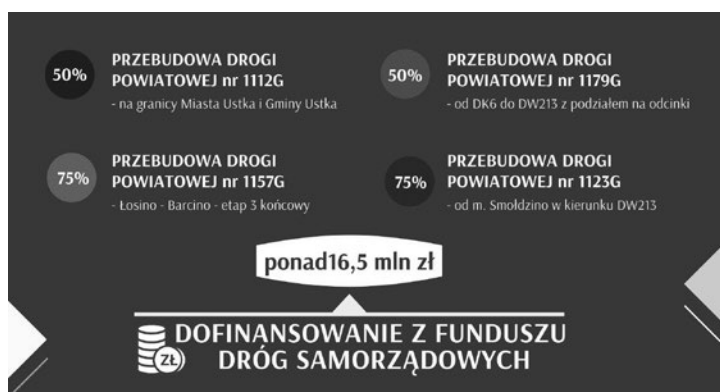
Niestety, w związku wprowadzonymi na terenie całego kraju licznymi obostrzeniami dotyczącymi pracy szkół, instytucji kultury, sportu itp., innymi zaleceniami, Zarząd Powiatu Słupskiego zmuszony był podjąć decyzje dotyczące odroczenia rozstrzygnięć konkursów dla organizacji pozarządowych na realizację zadań publicznych w zakresie kultury i sztuki, na rzecz ochrony i opieki nad zabytkami, w zakresie promocji zdrowia, ochrony środowiska. Na zadania w zakresie kultury fizycznej i sportu wstrzymano podpisanie umów. Ze względu na niemożliwość realizacji zadań wstrzymane zostało też ogłaszanie nowych konkursów. (z)

Pieniądze na drogi

Cztery wnioski z powiatu słupskiego dotyczące przebudowy dróg powiatowych znalazły się na liście podstawowej zaakceptowanej przez premiera do dofinansowania z Funduszu Dróg Samorządowych na 2020 rok. Łącznie mają zostać podpisane umowy.

autobusowych, miejsc parkingowych, ciągu pieszo-rowerowego, kanalizacji deszczowej.

Drugi wniosek dotyczy przebudowy drogi powiatowej nr 1157G Łosino - Barcino - etap 3 końcowy. Całkowity, wykazany we wniosku koszt realizacji przedsięwzięcia, to ponad 9,7 mln zł, w tym w 2020 roku - 8 544 400 zł



Pierwszy wniosek dotyczy przebudowy drogi powiatowej nr 1112G na granicy Ustki i gminy Ustka. Wykazany koszt realizacji przedsięwzięcia to 2 mln zł. Połowę tej kwoty (1 mln zł) ma stanowić dofinansowanie z Funduszu Dróg Samorządowych. Inwestycja realizowana ma być w tym roku i obejmie przebudowę odcinka o długości 0,5 km - 0,3 km w Ustce (od ronda ul. Jagiellońskiej/ul. Grunwaldzkiej do granicy miasta) i 0,2 km (od granicy z Ustką do skrzyżowania z ul. Sportową) na terenie gminy Ustka. Zakres robót obejmuje wykonanie głównych elementów infrastruktury drogowej, w tym poszerzenie jezdni do 6 m, wykonanie chodników i zjazdów z kostki betonowej, zatok

i w 2021 roku - 1 197 600 zł. Inwestycja ma być realizowana na terenie gminy Kobylnica. przewidziana jej wartość po przetargu to 12.614.980,49 zł, zakładane dofinansowanie z Funduszu Dróg Samorządowych - 7 306 500 zł. Przebudowanych ma zostać ponad 6,1 km drogi w miejscowości Sierakowo, Kuleszewo i od skrzyżowania do miejscowości Zagórki, do granicy gmin Kobylnica i Kępice. Zakres robót obejmuje poszerzenie jezdni do 6 m, wykonanie chodników, zjazdów bitumicznych, ciągu pieszo-rowerowego, zatok autobusowych, miejsc parkingowych i kanalizacji deszczowej.

Kolejny wniosek dotyczy przebudowy drogi powiatowej nr 1179G od Drogi Krajowej 6

do Drogi Wojewódzkiej 213 z podziałem na odcinki. Całkowity koszt realizacji przedsięwzięcia to ponad 9,5 mln zł. Inwestycja ma być realizowana na terenie gmin Głównicy i Potęgowie, zgodnie z wnioskiem jej rozpoczęcie planowane jest także w tym roku. Dofinansowanie z Funduszu Dróg Samorządowych ma wynieść 4 792 500 zł. Przebudowanych ma być ponad 7 km drogi, w tym na terenie gminy Głównicy 6,4 km, a na terenie gminy Potęgowie 0,8 km. W sumie realizowanych będzie siedem odcinków. Odcinek od końca inwestycji z 2018 roku do miejscowości Podole Wielkie na długości 0,4 km w obszarze niezabudowanym, zakres robót obejmuje poszerzenie jezdni do 5,5 m i wykonanie zjazdów bitumicznych. Na odcinku w Podolu Wielkim na długości 0,1 km poszerzona ma być jezdnia, wykonane zjazdy z kostki betonowej i zatoka autobusowa. Na odcinku od Podola Wielkiego do Dargolezy na długości 2,2 km w obszarze niezabudowanym planowane jest poszerzenie jezdni i wykonanie zjazdów bitumicznych. Na odcinku w Dargolezie, na długości 0,6 km poszerzona zostanie jezdnia, wykonane mają być chodniki, zjazdy z kostki betonowej, zatoki autobusowe i wyspy spowalniające ruch na wjazdach do miejscowości. Na odcinku od Dargolezy do Poblöcia, na długości 2,6 km w obszarze niezabudowanym jezdni ma być poszerzona do 5,5 m i wykonane mają być zjazdy bitumiczne. Na odcinku w Poblöciu na długości 0,45 km w obszarze zabudowanym jezdni ma być też poszerzona do 5,5 m, wykonane mają być chodniki i zjazdy

z kostki betonowej, zatoki autobusowe, wyspy spowalniające ruch na wjeździe do miejscowości. Natomiast na odcinku w Potęgowie, od skrzyżowania z Droga Krajowa 6 do wiaduktu kolejowego, na długości 0,87 km w obszarze zabudowanym poszerzona ma być jezdnia, wykonane mają być chodniki, zjazdy z kostki betonowej, zatoki autobusowe i miejsca parkingowe.

Czwarty wniosek dotyczy przebudowy drogi powiatowej nr 1123G od Smołdzina w kierunku Drogi Wojewódzkiej 213. Koszt całkowity przedsięwzięcia to ponad 4,5 mln zł. Inwestycja planowana jest w tym roku. Dofinansowanie z Funduszu Dróg Samorządowych ma wynieść 2 705 278,23 zł - przy przetargowej wartości oferty 3 607 037,65 zł lub 2 771 318,40 zł - przy przetargowej wartości oferty 3 695 091,20 zł. Przebudowanych ma zostać 3,25 km drogi. Roboty na odcinku w Smołdzinie, od skrzyżowania z drogą 1120G do końca miejscowości na długości 0,2 km w obszarze zabudowanym, objąć mają poszerzenie jezdni do 5,5 m, wykonanie chodników i zjazdów z kostki betonowej. Natomiast na odcinku od Smołdzina do Żelaza na długości 2,2 km w obszarze niezabudowanym, poza poszerzeniem jezdni, objąć mają wykonanie też zjazdów bitumicznych. A na odcinku od Żelaza na długości 0,85 km w obszarze zabudowanym - poszerzenie jezdni do 5,5 m, wykonanie chodników, zjazdów z kostki betonowej i kanalizacji deszczowej.

W sumie powiat z Funduszu Dróg Samorządowych na 2020 rok powinien otrzymać ponad 16 mln zł. (A.K.)

Komputery dla szkół

Powiat słupski znalazł się na liście samorządów, których wnioski zostały pozytywnie ocenione i otrzymają grant w ramach projektu „Zdalna Szkoła - wsparcie Ogólnopolskiej Sieci Edukacyjnej w systemie kształcenia zdalnego”.

Wysokość grantu wynosi 69 972,24 zł, za co uda się



sfinansować łącznie 26 zestawów komputerowych, które ze względu na pilną potrzebę zostały już wcześniej zakupione. Sprzęt zostanie przekazany na potrzeby jednostek oświatowych powiatu i będzie wykorzystany do prowadzenia lekcji w trybie zdalnym.

Zestawy komputerowe otrzymają: Zespół Szkół Agrotechnicznych w Słupsku, Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce oraz Specjalny

Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Damnicy.

Projekt jest realizowany przez operatora Centrum Projektów Polska Cyfrowa w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na lata 2014-2020, w ramach priorytetu: „Powszechny dostęp do szybkiego internetu” i działania: „Wyeliminowanie terytorialnych różnic w możliwości dostępu do szerokopasmowego internetu o wysokich przepustowościach”. (AK)

Po dofinansowanie do gmin

Starostwo Powiatowe w Słupsku nie będzie realizowało w tym roku programu wymiany eternitowych pokryw dachowych. Dla mieszkańców korzystniej będzie, gdy o dofinansowanie usuwania wyrobów zawierających azbest, będzie się ubiegać bezpośrednio gmina.

Zgodnie z Regulaminem ogólnopolskiego programu finansowania usuwania wyrobów zawierających azbest, realizowanego przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, beneficjentem końcowym programu są w pierwszej kolejności gminy działające na rzecz właścicieli lub posiadaczy obiektów budowlanych, przy czym dla

określenia poziomu kwalifikowalności kosztów przedsięwzięć realizowanych brana jest pod uwagę wartość wskaźnika dochodów podatkowych na jednego mieszkańca w gminie.



Fot. K. Piltch / wikipedia.org

Dla powiatów brana jest najwyższa wartość wskaźnika spośród gmin w powiecie. W związku z tym, iż do powiatu słupskiego przynależą gminy, których wartość tego wskaźnika przekracza 2000, kwota dofinansowania przedsięwzięć zgłaszanych

przez Starostwo Powiatowe może wynieść do 40 proc. kosztów kwalifikowanych. Natomiast w przypadku, gdy o dofinansowanie w programie ubiegać się będzie bezpośrednio gmina, może ono wynieść do 100, 70 lub 40 proc., w zależności od wartości współczynnika, określonego dla roku poprzedzającego rok złożenia wniosku o dofinansowanie.

Z przeprowadzonej analizy dochodów poszczególnych gmin powiatu wynika, że dofinansowanie na poziomie do 100 proc. kosztów kwalifikowanych może uzyskać sześć gmin: Damnica, Dębica Kaszubska, Potęgowo, Głównice, Smołdzino, Kępice, do 70 proc. - gmina Ustka, a do 40 proc. gminy Słupsk, Kobylnica i miasto Ustka. W związku z tym pozostawiono do realizacji to zadanie jako własne gminy. (A.Cz.)

Pierwsze przeszczepy szpiku

Sukcesem zakończyły się pierwsze przeszczepy szpiku w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. J. Korczaka w Słupsku. Wszyscy czterej pacjenci czują się dobrze. Dwoje wypisano już do domów.

Samorząd powiatu słupskiego dołożył 50 tysięcy złotych na utworzenie szpitalnego Oddziału Transplantacji Szpiku Kostnego. Kiedy redagowaliśmy tę informację na zabieg przeszczepu szpiku czekało 20 osób. Na konferencji prasowej podsumowującej pierwsze transplantacje, ordynator oddziału dr n. med. Wojciech Homenda powiedział:

- Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu, regeneracji szpiku i sprawdzeniu stanu zdrowia, pierwsi pacjenci zostali wypisani do domu. Czują się dobrze. Jednak przez kilka miesięcy muszą odpoczywać. Raz w miesiącu będą zgłaszać się na badania krwi do naszego szpitala w celu oceny stanu ich zdrowia. Pozostaną pod kontrolą Poradni Hematologicznej.

- Serdecznie gratuluję całemu zespołowi medycznemu oraz zarządowi szpitala przeprowadzenia pierwszych transplantacji. To ogromny sukces - mówił obecny na konferencji Mieczysław Struk - marszałek

województwa pomorskiego. - Cieszę się, że pacjenci słupskiego szpitala, u których wykonano przeszczep szpiku, czują się dobrze. To sygnał, że decyzja o dofinansowaniu z budżetu województwa pomorskiego utworzenia i wyposażenia oddziału kwotą 1,4 mln zł była słuszna. Mam nadzieję, że transplantacje będą wykonywane zgodnie z planem, co pozwoli skrócić kolejkę oczekujących. Szczególnie ważne jest, że chorzy są poddawani przeszczepowi lub autoprzeszczepowi bliżej domu i nie muszą już jeździć do odległego o sto kilometrów Gdańska.

O rozpoczęcie przeszczepów szpiku słupski szpital starał się dwa lata. Przebudowa Oddziału

Transplantacji i stworzenie Banku Tkanek i Komórek kosztowała 3,6 mln złotych. 1,1 mln zł przekazało miasto Słupsk, 50 tys. - powiat słupski, dołożyły się też gminy. Szpital wyłożył 850 tys. zł, w tym 500 tys. z kredytu. Pierwsze pozwolenie od ministra zdrowia na przeszczepy otrzymał w październiku ub. roku. Dotyczy pobierania komórek krwiotwórczych krwi obwodowej od żywego dawcy i autologicznych przeszczepów komórek pobieranych przez żywych dawców. W grudniu otrzymał drugie pozwolenie - na gromadzenie, przechowywanie, przetwarzanie i dystrybucję autologicznych komórek pobieranych z krwi obwodowej.

Marcin Prusak, Słupsk

Czerwona Szopa przekazana

Samorząd powiatu słupskiego przekazał w formie darowizny miastu Ustka - Czerwoną Szopę. Budynek z 1867 roku znajduje się przy ulicy Marynarki Polskiej 12C.

Nieruchomość została przekazana za zgodą Rady Powiatu Słupskiego na cele publiczne, w tym na realizację zadań w zakresie działalności

kulturalno-edukacyjnej, promocyjno-turystycznej, ochrony zdrowia, bezpieczeństwa obywateli i współpracy z organizacjami pozarządowymi, w szczególności na potrzeby wodnego zespołu ratownictwa medycznego w pasie przybrzeżnym powiatu.

Starosta Paweł Lisowski jest przekonany, że Czerwona Szopa trafiła w dobre ręce i samorząd ustecki z przekazanego

obiektu stworzy miejsce, które uatrakcyjni jeszcze i tak bogatą

już ofertę doskonale funkcjonującego kurortu.



Fot. Archiwum

Akt notarialny podpisany został 5 marca br. Przekazanie nieruchomości, leżącej w granicach administracyjnych usteckiego portu, pozytywnie zapociniowali: Zarząd Portu Morskiego w Ustce, dyrekcja Urzędu Morskiego w Słupsku oraz Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej. (P)

Stypendia kulturalne

Starosta słupski Paweł Lisowski wręczył stypendia przyznane na 2020 rok twórcom kultury i osobom zajmującym się upowszechnianiem oraz ochroną dóbr kultury.

Stypendia kulturalne w powiecie słupskim przyznawane są na okres 6 miesięcy lub jednego roku w wysokości odpowiednio: 1800 i 3600 złotych brutto - na zaproponowane przez kandydatów programy obejmujące różne formy aktywności twórczej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury.

W tym roku ubiegało się o nie 14 kandydatów, a odebrało 6, z którymi podpisane zostały umowy. Zarząd Powiatu przyznał cztery roczne stypendia: Katarzynie Nazaruk - na wydanie antologii poezji polsko-portugalskiej, Paulinie Ładze - na podniesienie umiejętności artystycznych (tanecznych, teatralnych i wokalnych), Kindze Łozińskiej - na wydanie płyty CD z jej własnymi utworami i własną muzyką oraz Katarzynie Wiśniewskiej - na wydanie obrazkowej książki dla dzieci.



Fot. www.powiat.słupsk.pl

Półroczne stypendia otrzymali: Gabriela Siecińska - na zakup materiałów i sprzętu do realizacji projektu pt. „Wscape from

reality” i Bartosz Muszyński - na napisanie krótkich form literackich w ujęciu reportażowym, za tytułowanych „Skandyazja”. (z)

Stypendia za naukę

Zarząd Powiatu Słupskiego przyznał również stypendia dzieciom i młodzieży pobierającej naukę. Przyznał je za wyniki w nauce (Omnibus) oraz za osiągnięcia edukacyjne i artystyczne (Talent) na okres pięciu miesięcy - od 1 lutego do 30 czerwca br.

Stypendia przyznawane są zgodnie z zapisami załącznika do

uchwały Rady Powiatu Słupskiego z 15 grudnia 2017 roku w sprawie określenia Regulaminu udzielania pomocy materialnej o charakterze motywacyjnym w ramach

Lokalnego Programu Wspierania Uzdolnień w Powiecie Słupskim, zmienionej uchwałą z 28 sierpnia 2018 roku.

W kategorii Omnibus wpłynęło

14 wniosków spełniających kryteria formalne i zapisy regulaminowe, natomiast w kategorii Talent tylko jeden wniosek. Zarząd Powiatu przyznał stypendia wszystkim wnioskodawcom w wysokości

od 100 do 150 zł miesięcznie.

W kategorii Omnibus - za wyniki w nauce stypendia otrzymali: Victoria Świtka, Wiktoria Skowron, Kacper Cur, Maciej Mazur, Piotr Zarzycki, Aleksandra Kleina, Kamil Niemkowicz, Natalia Łepkowska, Nikola Skrajewska, Hanna Kargul, Hanna Żyłka, Wiktora de Lubicz-Szeliska, Dagmara Dubiel i Laura Sutowska. W kategorii Talent - Wiktoria Małczyńska.

Uroczyste wręczenie stypendiów odbyło się 4 marca w Sali Czerwonej Starostwa Powiatowego w Słupsku. (z)



Fot. www.powiat.słupsk.pl

Nagrody i stypendia sportowe wypłacone

W związku ogłoszeniem na terenie całego kraju stanu zagrożenia epidemicznego spowodowanego koronawirusem nie można było wręczyć uroczystie nagród zawodnikom i trenerom za osiągnięcia sportowe w 2019 roku oraz przyznanych przez Zarząd Powiatu Słupskiego zawodnikom stypendiów na 2020 rok. Należne kwoty laureaci otrzymali na wskazane konta, pocztą wysłano im stosowne potwierdzenia o przyznaniu przez Zarząd nagrody lub stypendium.

Tegorocznymi laureatami nagród za wysokie wyniki uzyskane w 2019 roku w międzynarodowych i krajowym współzawodnictwie sportowym zostali:

Seweryn Wysokiński z CSW Opty Ustka - za zdobycie III miejsca na Mistrzostwach Świata Juniorów i Mistrzostwach Polski Juniorów w żeglarskim, Dawid Kościów z LKS Jantar w Ustce - za zdobycie drużynowo I miejsca w Pucharze Europy w rzutach oszczepem, Mateusz Kosidlak z KS Gryf Słupsk - za zdobycie III miejsca na Mistrzostwach Polski Juniorów Młodszych w strzelectwie z pistoletu dowolnego, Agnieszka Kulak z LKS Jantar Ustka - za zdobycie II miejsca w Mistrzostwach Polski U23 w rzucie dyskiem, Katarzyna Znamirska z TS Judo Gryf Słupsk - za zdobycie III miejsca na Mistrzostwach Polski Młodzików w judo, Mirosław Witek z Akademii Młodego Lekkoatlety w Słupsku - za zdobycie I miejsca w pchnięciu kulą

i II w rzucie oszczepem na Halowych Mistrzostwach Świata Masters oraz I miejsca w pchnięciu kulą na Halowych Mistrzostwach Polski Masters.

Nagrodzeni trenerzy to: Henryk Michalski z LKS Jantar w Ustce, Tomasz Czubak i Bernadeta Kopeć z Akademii Młodego Lekkoatlety w Słupsku oraz Lidia Kazior i Irena Waszkiel z TS Judo Gryf Słupsk. Zawodnikom i trenerom wypłacono nagrody w wysokości od 600 do 1500 złotych.

Zarząd Powiatu Słupskiego przyznał też okresowe (na 10 miesięcy) stypendia sportowe, które mają wesprzeć zawodników szczególnie uzdolnionych sportowo. Stypendia przyznawane są w trzech kategoriach: Czempion (500 zł miesięcznie), Wykwalifikowany (300 zł) i Talent (200 zł). W

pierwszej kategorii stypendium otrzymał Seweryn Wysokiński z Ustki. W drugiej (Wynik) stypendia przyznano: Aleksandrze Karpuk (trenuje w Pomorskiej Akademii Sportu Karate Kyokusihinkai), Katarzynie Znamirskiej, Adrianowi Kordońskiemu z LKS Fenix Słupsk, Marcelinie Witek (AML Słupsk), Patrykowi Błaszczykowi (LKS Jantar Ustka) i Małgorzacie Pazda-Pozorskiej (AML Słupsk).

Laureaci stypendium w kategorii trzeciej (Talent) to: Szymon Depta, Dominika Skowrońska, Adrianna Litwin, Ludwika Korniat, Kewin Małek - wszyscy z Akademii Młodego Lekkoatlety w Słupsku i Mateusz Kosidlak z KS Gryf Słupsk.

Przyznanie tylu stypendiów było możliwe dzięki zwiększeniu zaplanowanych w budżecie powiatu środków finansowych na ten cel z 25 do 35 tys. złotych. (z)

Zlekceważony wirus

Lekarze chińscy nie byli pierwsi, którzy ostrzegali przed niebezpiecznym wirusem. Pierwszą była Światowa Organizacja Zdrowia, która już dwa lata temu (nasza telewizja wyemitowała program o tym 31 marca 2018) zaapelowała do rządów i służb medycznych państw, by rozpoczęli przygotowywania na atak najnowszej generacji nieokreślonej jeszcze „Choroby X” – wirusa, który już jest, został wykryty, rozpoczął namnażanie się i w niedługim czasie może zaatakować ludzkość, przynosząc niewyobrażalne straty.

Przychodzi czas na refleksje smutne, a przynajmniej większość z nich. Zanim przejdę do refleksji nad światem, najpierw o nas wszystkich: Czy kiedykolwiek spodziewaliśmy się, że życie tak nas podzieli - na już zarażonych i zagrożonych zarażeniem wirusem stulecia COVIDEM 19?

Czy wyobrażaliśmy sobie, że Święta Wielkanocne mogą być smutne nie tylko z powodu tradycji chrześcijańskich związanych z męką Chrystusa, ale także z powodu udręki niesionej przez ostrzeżenia związane z pandemią? Że będziemy musieli je obchodzić zamknięci w swoich domach bez dalszej rodziny, przyjaciół, znajomych? Że nasze kościoły wypełni smutek, trwoga i... wszechogarniająca nas pustka.

Widok modlącego się w samotności papieża na placu świętego Piotra w Rzymie, gdy po raz pierwszy w czasie światowego zagrożenia - z użyciem najświętszych insygniów katolickiej wiary - papież Franciszek błagał Boga o zatrzymanie szalejącej pandemii, poraził swą wymową wszystkich Chrześcijan. Osobiście nie zapomnę tego nigdy.

Wielu złych wydarzeń mogliśmy się w ostatnim czasie spodziewać na świecie i w kraju. Pisałem o tym w poprzednich felietonach. W skali globalnej nie tylko niespotykane dotychczas klęski żywiołowe (głównie olbrzymie pożary), ale także awanturnicza, wręcz prowokacyjna polityka mocarstw światowych, dostarczały dość emocji, zmartwień i niepokojów o przyszłe losy świata, w którym żyjemy.

Niepokoiliło rozchwywanie nastrojów społecznych w krajach europejskich powodowane problemami wewnętrznymi (Wlk. Brytania, Francja, Turcja). Martwił nas światowy kryzys migracyjny spowodowany wojną w Syrii i konfliktami zbrojnymi w Afryce. Niepokoiliły się militarnymi

zagrożeniami niesionymi przez Koreę Północną, ale i napięciami z powodu powrotu paru innych państw do polityki wyścigu zbrojeń (doskonalenia supernowoczesnych broni).

Świat, który od pamiętnych czasów zaniechania zimnej wojny pomiędzy Ameryką i ZSRR, ponownie zaczął - chociaż może nieco wolniej - zmierzać ku krawędzi przybliżającej nas do zagłady.

Gazety o tym się rozpisywały, ludzie protestowali. I co? Nic. Wciąż nie dochodzi do opamiętania, a jeszcze do tego przyłączyła się natura. Chociaż raczej powinienem napisać: biologia, gdyż o walce natury z nami (efekt cieplarniany, topnienie lodowców, zanieczyszczenie atmosfery, niszczenie biosfery, fauny i flory...) wiedzieliśmy już wiele i zaczęliśmy ją w ostatnim czasie rozumieć, a nawet skłaniać się do ustępstw na jej korzyść.

Jakaś niepojęta magia liczby dwadzieścia nakazywała w poprzednich latach ludziom na ziemi podpowiadać, że może dojść do kolejnej cyklicznej tragedii z udziałem biologicznych wirusów dziesiątkujących ludzkość. Pisał o tym nieżyjący już Stephen Hawking („w roku 2020 może czekać ludzkość niewyobrażalna katastrofa biologiczna”). Przestrzegała wcześniej przed tym pisarka wróżbitka, jasnowidz i parapsycholog Jean Dixon (1904 - 1997), pod koniec życia gwiazda popkultury amerykańskiej.

Ale problem polega na tym, że wróżby bywają czymś interesującym, niemniej zazwyczaj nie spełniają się. Naszego jasnowidza z Człuchowa z tego powodu ostatnio obwołano w internecie oszustem. Co do Dixon... trafnie przepowiedziała ona śmierć Franklina Roosevelta, zamachy na: św. Jana Pawła II, Mahatmę Ghandiego, Martina

Lutera Kinga, czy też Johna Kennediego... Ale to było dawno. Piszę zresztą o tym dlatego, gdyż w Chinach, skąd rozeszła się na cały świat zaraza covidą (Vuhan), naukowcy z zakresu medycyny na kilka miesięcy wcześniej przestrzegali swoje władze, wyjaśniając że pojawił się rozpoznany przez nich niebezpieczny wirus, który nie poddaje się żadnym antybiotykom, jest praktycznie (aktualnie) niezniszczalny i może stanowić ogromne zagrożenie dla ludzkości. Lekarka Ai Fen, która to ujawniła, po prostu „zniknęła”, a rząd zignorował ostrzeżenia i zaczął prześladować wspierających ją lekarzy.

Dość jednak powiedzieć, że w komunistycznym reżimie, krwawym reżimie chiń-

skim, aktualnie milion ludzi przebywa w łagrach, a dwa miliony w obozach pracy...

Ale lekarze chińscy też nie byli pierwsi, którzy ostrzegali przed niebezpiecznym wirusem. Pierwszą była Światowa Organizacja Zdrowia, która już dwa lata temu (nasza telewizja wyemitowała program o tym 31 marca 2018) zaapelowała do rządów i służb medycznych państw, by rozpoczęli przygotowywania na atak najnowszej generacji nieokreślonej jeszcze „Choroby X” - wirusa, który już jest, został wykryty, rozpoczął namnażanie się i w niedługim czasie może zaatakować ludzkość, przynosząc niewyobrażalne straty.

Na krótko wywołało to niepokój i dyskusje w kręgach rządowych i medycznych, uznając ostatecznie, że współczesna medycyna jest na tyle rozwinięta, że w razie sprawdzenia się scenariusza, w bardzo krótkim czasie da sobie radę z każdym wirusem.

Czarnowidztwem zapewne nie są fakty, że jakaś niezrozumiała magia liczb nadal nasz świat prześladowuje. W tym przypadku liczby 20. I tak w 1720 roku wystąpiła największa w Europie plaga dżumy. W Marsylii we Francji zginęło wtedy ponad 100 tysięcy osób. W 1820 roku miała miejsce potworna epidemia cholery, a w 1920 grypy hiszpanki - najbardziej zabójczej z

dotychczasowych epidemii, która wg. różnych szacunków zabiliła na a

przygotowując się do wojen, doskonałą broń, już głównie strategicznie o zasięgu ogólnosiwiatowym, też powinni sobie zdawać sprawę z tego, że w razie ich użycia, duża część populacji ludzkiej zginie, a inna może jeszcze większa będzie potrzebowała pomocy medycznej, i zapewne materialnej także. I to nie za kilka miesięcy od ataku, ale natychmiast.

Kilka lat temu amerykańscy badacze przypadkowo natrafili na biegunie północnym potężne (niezniszczalne atomem) tajne schrony radzieckie, w których Sowietzi zgromadzili specjalnie spreparowane pakunki z milionami nasion wszystkich roślin żyjących obecnie na Ziemi. Schrony zbudowane podczas zimnej wojny, grożącej w każdej chwili światowym konfliktem atomowej zagłady, miały za cel: odtworzenie nawet po setkach lat od zniszczenia planety, odrodzenie jej życia biologicznego.

Jest to tylko jeden z dowodów: jak dalece człowiek zapędził się w planowaniu śmierci drugiego człowieka; z przeciwnego sobie państwa, obozu. Licząc się nawet z tym, że sam w tym konflikcie może zginąć.

Refleksje innego rodzaju: dotyczące nieprzygotowania się wszystkich państw na świecie do walki z tak szeroko rozpowszechniającą się epidemią, jaką obecnie wywołał COVID 19. Wielu przywódców, po pojawieniu się wirusa i początku epidemii w Chinach, kompletnie zlekceważyło to zjawisko. Łącznie z prezydentem Trumpem, a potem z premierem Wielkiej Brytanii, rządami: Włoch, Hiszpanii, szwedzkim i innymi. Niedawno prezydent Białorusi Łukaszenka, rozgrywając w Mińsku ze swoją amatorską drużyną turniej hokeja, wyjaśniał zdziwionej jego odwagą dziennikarce: - „Widzi tu pani jakiegoś wirusa? Żadne wirusy tu nie latają. Ja ich nie widzę”. A prezydent Brazylii Bolsonaro ogłosił, że „covid to taka grypa, nie ma co się nią przejmować. A poza tym Brazylijczycy mają naturalną odporność”.

Niemal wszyscy zlekceważyli zagrożenie, nie docenili wirusa, a Chińczycy są dzisiaj obwiniani za to, że za późno ujawnili prawdziwe informacje o nim i nie zamknęli granic, pozwalając milionom rodaków podróżować, a tym samym roznosić wirusa po całym świecie.

W naszym kraju początkowo wznowiono się na innych krajach, ale w miarę rozsądnie czasowo zamknięto

granice i wprowadzono obostrzenia we wzajemnym kontaktowaniu się ludzi. „Zostań w domu” - ten nakaz stał się podstawą wszelkich działań, jakie w sytuacji braku skutecznego na wirusa leku i szczepionki na tego złośliwego i niewidzialnego zabójcę mogły zostać podjęte.

Moja żona Zofia w książce „Saga rodu Grzeszczaków” w wyróżnionej podczas XIX Kościerskich Targów Książki Pomorza i Kaszub opisała, jak niektórzy członkowie jej rodu zachowali życie i przeżyli tylko dlatego, że podczas wspomnianej wyżej hiszpanki zaszyli się głęboko na wsi, izolując się i chroniąc w ten sposób przed zarażeniem.

Kolejna refleksja: Mimo wielu ludzkich tragedii: ciężkiego przebiegu choroby u niektórych zarażonych, a nawet śmierci, dla niektórych polityków nadal na pierwszym miejscu stoją: władza, biznes i majątki oraz ślepe dążenie do zaspokojenia własnych ambicji; sprzecznych często ze zdrowym rozsądkiem. Na przykład, jak można w warunkach epidemii przeprowadzić wybory prezydenckie?

Premier Wlk. Brytanii, który żartował z coronawirusa, ciężko zachorował. A prezydent USA także długo epidemię lekceważący, w krótkim czasie zderzył się z ogromną tragedią narodu, której przecież mógł wcześniej zapobiec, lub przynajmniej częściowo ją ograniczyć. Na skutek nieroztropności i braku umiejętności przewidywać skutków epidemii Amerykanom brakuje teraz podstawowego sprzętu medycznego: maseczek, rękawiczek, respiratorów. Ale i szpitali, a ostatnio już także miejsc na cmentarzach, by pochować tysiące zmarłych.

Kiedy piszę ten felieton, daleko jest jeszcze do opanowania pandemii, wprowadzono kolejne nowe obostrzenia, przesuwając wszelkie restrykcyjne zachowania (i władz i ludności) do końca kwietnia. Przesunięto w kraju egzaminy dla ośmioklasistów i maturzystów na czerwiec. Otwartą pozostaje kwestia: kiedy uda się ostatecznie opanować pandemię i jakim będzie świat, jaką będzie nasza ojczyzna, po pandemii?

Pandemia coronawirusa na pewno przewartościowuje wiele ludzkich zachowań, myślenie i nastawienie do życia. Większość ludzi już zaczyna rozsądniej myśleć od swych polityków, których wcześniej na urzędy wybrali. Można teraz w warunkach epidemii skorygować swoje opinie o ich

świecie nawet 100 milionów ludzi. To tylko ciekawostki. Ale także budzące refleksje, iż we współczesnym świecie nie jesteśmy sami, że musimy się mieć na baczności, że powinniśmy być przezorni, bo natura się broni, a także eksploruje świat walcząc z nami... Nie doceniono śmiertelnego zagrożenia, jakie może spowodować zapowiadana pandemia wywołana przez złośliwego mutant z Chin.

Retorycznym staje się zatem pytanie: dlaczego rządy nawet najbogatszych państw skupiają uwagę jedynie na zagrożeniach fizycznych, widocznych gołym okiem? Przecież nawet

przydatności i wierności zasadom służby, na jaką wcześniej się zdecydowali.

W dramatycznych okolicznościach tragedii, jakie niesie rozwój epidemii na całym świecie, przewartościowią się priorytety w kierowaniu państwem, społeczeństwem, służbą zdrowia, ale przede wszystkim gospodarką.

Nie wiem jeszcze, jak w najbliższej przyszłości poradzi sobie Ameryka? W moim mniemaniu już straciła pozycję światowego lidera. Proszę zobaczyć, jak mało istotne stało się teraz ogłoszenie na początku roku przez prezydenta Trampa, że Amerykanie pierwsi na świecie wstąpili na poziom wojennego wyścigu zbrojeń w kosmosie (stworzyli Siły Kosmiczne)?, kiedy tu na Ziemi pokonuje ich niewidoczny, ale niezwykle zjadły śmiertelny wirus. Jak niewydolna okazuje się w tych warunkach pozostawać zablokowana przez wirusa gospodarka, i te rzekomo nowoczesne służby medyczne (gdy zabraknie im podstawowego sprzętu i lekarstw)? I wreszcie: jakie znaczenie może mieć widoczna gołym okiem konsolidacja (lub jej brak) wielonarodowych społeczeństw?

Paradoksalnie w tym wszystkim Chińczykom ta sytuacja pandemiczna może przynieść niewyobrażalne korzyści: w bezprecedensowym przejściu prymatu w gospodarce światowej. Sprzyja temu i reżimowe, komunistyczne kierowanie państwem, i opanowanie

zawitych technologii w zakresie funkcjonowania sztucznej inteligencji (skanowanie twarzy każdego obywatela, jego tożsamości, temperatury, zachowania), ale i także wysoki poziom zorganizowania państwowego w zakresie planowania (gospodarki i rozwoju technicznego, nauki, medycyny). W zakresie militarnym podobno Chiny już nie ustępują Amerykanom.

Wirus pomógł Chińczykom wyjść na czoło światowego peletonu. Pokazał ich możliwości i obnażył słabości współczesnego świata na czele z amerykańską gospodarką. Obnażył nieporadności w radzeniu sobie z pandemią XXI wieku.

Dość powiedzieć, że w obliczu strat czynionych przez pandemię, słabo na tym tle rysują się także perspektywy dalszego rozwoju Unii Europejskiej.

Zarządzanie państwem z pozycji jednego człowieka: prezydenta, dyktatora, króla itp., staje się współcześnie coraz bardziej nie do zrealizowania. Duże demokracje się nie sprawdzają. Są trudne do opanowania, są antydemokratyczne, korupcyjne, a przede wszystkim niesprawiedliwe i ułomne organizacyjnie w najważniejszych kwestiach: planowania gospodarki i ochrony życia obywateli.

Co z tym zrobić, nie wiem, ale na pewno świat musi to zmienić, przewartościować. Oby w najbliższym czasie nie zrobił tego koronawirus.

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

REFLEKSJE

Ludzka solidarność

W obliczu pandemii okazało się, że potrafimy nieść pomoc, dzielić się z potrzebującymi i dzielić przysłówiowym ostatnim kawałkiem chleba.

Nowego ofiarne wymiaru, także politycznego w obliczu nieudolności rządzących, nabiera akcja pomocy szpitalom Fundacji Jurka Owsiaka, ale też i wiele indywidualnych przykładów ludzkiej dobroci (wobec chorych i potrzebujących) ze strony osób prywatnych, instytucji i małych firm, które np. przestawiały swe działania na pomoc służbie zdrowia i społeczeństwu: szyjąc maseczki, gotując i dowożąc posiłki służbom medycznym oraz seniorom, wspierając DPS-y i inne Ośrodki Pomocy Społecznej.

Zapewne, gdy zły czas epidemii minie, wiele dziedzin życia będzie

wymagało przewartościowania. Wiele problemów trzeba będzie rozwiązać inaczej, by w przyszłości nie dać się zaskakiwać podobnym dramatom. Przede wszystkim bardzo ostro w czasie pandemii zarysował się problem wcześniejszej likwidacji w systemie leczniczym szpitali zakaźnych i związanych z nimi rezerw środków ochrony antywirusowej. Nie powinny też pozostawać poza opieką Ministerstwa Zdrowia Domy Pomocy Społecznej i Domy Opieki Społecznej, nie podlegające dotychczas powszechnemu jej systemu.

Konieczność izolacji dzieci i młodzieży szkolnej w rodzinnych domach, w tym zwłaszcza ze środowiska wiejskiego, powoduje pilną potrzebę dokonania zmian w systemie jej nauczania przy pomocy środków technicznych, i pełnego wyposażenia zarówno szkół, jak i młodzieży w laptopy oraz programy umożliwiające naukę przez Internet.

**Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo**

Wieś jest długa, rozłożona po obu stronach ulicy, z rozwieleniem w kierunku Ustki w niezbyt atrakcyjnym centrum. Widać stąd rozpoczętą przebudowę ulicy i chodników. Pusto, robota ślimaczy się, robotników nie widać. Ostrzegawcze pacholki na poboczach i taśma bhp ostrzegają przed utrudnieniem. Niedawno kładzione chodniki zastępują nowe, podniesione wysokimi krawężnikami. Jak to będzie wyglądało w końcowym efekcie, trudno zgadnąć.

Przebudowa drogi Ustka-Objazda była konieczna, w ubiegłym roku wykonano pierwszy odcinek, teraz rozpoczęto następny: Wytowno-Objazda. Zadanie „Przebudowa drogi powiatowej nr 1112G Ustka-Objazda - etap II” w zamówieniu przetargowym precyzuje ostateczny termin wykonania robót na 30 września br. Może tempo wynika z harmonogramu, a tylko niezadowoleni kierownicy wiążą je z kolejnymi „stanami”, których przyczyną jest koronawirus.

Narobiło się. Najpierw wydawało się, że Chiny leżą daleko, a prawdę niesie mem z tekstem: „Do Objazdy wirus nie dotrze. - „Nawet nie wiem, gdzie to jest” - mówi koronawirus.” Śmiech rozbraja narastający niepokój. W miarę zbliżania się zagrożenia, chociaż w Pomorskiem nie było jeszcze zachorowań, sprawę zaczęliśmy traktować poważnie. Życie z ulicy, z instytucji samorządowych, Kościoła przeniosło się na poziom wirtualny. Pojawiły się komunikaty rządowe i diecezjalne przekazywane przez telewizję i Internet, w ślad za nimi informacje i komunikaty samorządowe i parafialne. Przeszła normalnie funkcjonować urząd gminy, zamknięto szkoły, świetlice, place zabaw dla dzieci, w ośrodku zdrowia funkcjonuje w zasadzie tylko teleporadnia, na kościelnej tablicy ogłoszeń komunikat diecezji pelplińskiej o dyspensie na nieuczestnictwo we Mszy św. Wszyscy powtarzają hasztag „Zostańdomu”.

Zamknęliśmy się w rodzinnych bańkach. Krótkimi zdaniem wyrażamy strach, staramy się stłumić go przekazywanymi WhatsApp'em i Messengerem dowcipami. Przekazy dnia z TVP, TVN i Facebooka porównujemy z własnym oglądem rzeczywistości. Dziewięćdziesięciodwuletnia pani Maria czyta z trudem

BREAKING NEWS

DO OBJAZDY WIRUS NIE DOTRZE

15:28

"NAWET NIE WIEM GDZIE TO JEST" - MÓWI KORONAWIRUS

Wiejski pejzaż z koronawirusem

Okazało się, że świat, który wydawał się otwarty, został podzielony i pozamykany granicami strachu, by ograniczyć inwazję pandemii.

żółte paski i dopytuje o ich znaczenie. Ma szczęście, mieszka z rodziną. Życie przeniosło się na poziom wirtualny. Pani Maria, dla której niedzielne wyjście do kościoła było w takim samym stopniu aktem religijnym, co towarzyskim, upiera się, że będzie czterdziestą dziewiątą osobą ze zgodnych z zarządzeniem pięćdziesięciu. Postawa rodziny przekonuje ją do uczestnictwa przed telewizorem.

Dla wielu zoehydany Internet okazał się niezastąpionym narzędziem rozwiązującym wiele problemów. Komputer, dotąd zaledwie tolerowany, zastąpił okna i drzwi domu i urzędów. Znaczenia nabrały nowe pojęcia: telepraca, lekcje przez Internet, w najgorszym wypadku przez Librusa, teatr, koncert i książki, kontakt z rodziną przez Skype'a, wszystko przez Internet, online. Sytuacja jest dynamiczna, okres szkolnej „bezczynności” się wydłuża, pan minister ma nową koncepcję: e-learning jest obowiązkowy dla nauczycieli i uczniów. Pani Joanna ripostuje: „dziesięciolecie, jednak, sam w domu przez dziewięć godzin skupiony na nauce? Władza bez wyobraźni może coś

takiego wymyślić.” Inni przedstawiają kolejne argumenty: o odpowiedzialności prawnej za bezpieczeństwo dziecka, o nowym zarządzeniu rekompensującym brak zarobku opiekującym się dzieckiem do 8 lat i inne. Nauczyciele przedstawiają własne zastrzeżenia: narzędzia i programy komputerowe nie są zsynchronizowane, sprzęt nieprzystosowany, itp. Czysta improwizacja, nie-spójna, wewnętrznie sprzeczna.

A osoby trzeciego wieku - no dobrze, dają sobie radę z komputerem, młodzi również, dla nich to „normalka”, ale wieś zamieszkują głównie ludzie starsi, niemający pojęcia o klikach i plikach i temu podobnych pojęciach, a myszka w dalszym ciągu jest dla nich gryzoniem. Odcięci od realnego świata, korzystają z telewizji, najczęściej naziemnej, w której obraz kraju z koronawirusem jest bezpieczny. Żyją w przeświadczeniu że tylko zagranica dotknięta pandemią nie daje sobie rady, a u nas premier i prezydent świetnie sobie radzą. Dlatego pani Maria, chociaż sama nie potrafi załatwić e-recepty, do apteki koniecznie chce iść sama, z nadzieją na rozmowę z panią

magister. Nie przyjmuje do wiadomości, że powinna zostać w domu. Wraca zdziwiona, że kantor w aptece szczelnie owinięto folią i nikt nie podejmuje rozmowy. Teraz zamartwia się o wnuki w Irlandii. Jej rówieśnica, pani Regina przypomniała sobie przeżytą cudem epidemię dezynterii w czasie wojny. Straciła wtedy w jednym tygodniu czworo rodzeństwa. Mieszka z córką, ma dobrą opiekę, a łączność ze światem zapewnia jej telewizja „Trwam” i krótsze spacerunki wokół domu. Ma nadzieję, że tym razem najgorsze ją ominie. Nic dwa razy się nie zdarza...

Pani Krysia obiecała dzieciom przylecieć do Dublinu, pani Julia zrezygnowała z wyjazdu do Londynu, tracąc pieniądze za wykupiony wcześniej bilet, ale martwi się o córkę. Stanęliśmy wszyscy w bezruchu, skamieniali strachem wobec nieznanego wroga. Uświadamiamy sobie własną bezradność, fałszywe drogi, z których trzeba zawrócić. Znaczenia nabierają uwagi o niedoinwestowaniu nauk medycznych, braku uznania, również finansowego, dla służb medycznych. Słowa Czesława Miłosza ze znanego wiersza: „innego końca świata nie będzie” - dobrze opisują sytuację. Nie pokonamy dzisiejszego wroga świeżo zakupionymi w USA myśliwcami F-35, na nic zakłęcia z dobrze doinwestowanej TVP. Okazało się, że świat, który wydawał się otwarty, został podzielony i pozamykany granicami strachu, by ograniczyć inwazję pandemii. Specjaliści WHO mówią, że to za mało, potrzebne są „testy, testy, testy”. Prawdziwym zagrożeniem nie są imigranci, przed którymi ostrzegał prezes Kaczyński: „Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są

groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne”. Chorują wszyscy na tę samą chorobę - covid-19. Wszyscy, bez wyjątku. Nawet gospodarka. I to ta choroba rujnuje gospodarkę świata.

Rozmawiam z pracownicą Gops-u. Kierownik wydał komunikat, z którym podopieczni powinni się „wnikliwie” zapoznać (przez Internet, bo jak inaczej?), ogranicza „świadczenie usług opiekuńczych, w tym specjalistycznych usług opiekuńczych do sytuacji bezwzględnej konieczności”. Oczywiście w trosce o seniorów. Przekazanych opiece rodziny, jeśli takowa jest na miejscu. Jeśli nie ma, opiekunka zrobi zakupy, przede wszystkim chleb i poda do drzwi. Stołówka szkolna, z której obiady otrzymywali podopieczni GOPS-u, przestała działać.

Niestety, nie da się przez Internet pomóc w codziennej toalecie, przygotowaniu posiłku osobie niedowidzącej. Opisuję tylko stan faktyczny. Apele o sąsiedzką pomoc nie wystarczą. Instytucjonalna pomoc załamała się. Winię koronawirus? To przecież początek drogi. Słyszę w telewizji komunikat o śmierci czterdziestoczterolatka oczekującego w warunkach kwarantanny na test. Zmarła młoda kobieta leczona na bakteryjne zapalenie płuc. Dopiero wobec nieskuteczności podjętego leczenia wykonano test na koronawirusa. Wynik pozytywny, kobieta zmarła, szpital w kwarantannie. Ogarnia mnie przerażenie. Pokrywamy strach dobroczynnością, szyciem maseczek, które nawiasem mówiąc, nie spełniają medycznych standardów. Zamożni przekazują ogromne sumy, w akcji „Siepomaga” składamy wdowie grosze, by pomóc w zakupie najpotrzebniejszego w szpitalach i dla służb medycznych sprzętu.

Przegapiliśmy pierwszy czas, by się przygotować, opracować procedury, alternatywne ścieżki nauczania, pomocy najsłabszym, zrobić odpowiednie zapasy, zakupić narzędzia diagnostyczne. Nie, to nie tak, źle napisałam. Instytucje państwowe przegapiły czas na przygotowanie podstawowej ochrony przed pandemią. Przecież znamy powiedzenie, że nie kopie się studni w czas pożaru. W nowej zasobnej rzeczywistości poczuliśmy się pewni, bo wybrani przez „nas” liderzy zapewniali, że my to siła, nikt nas nie pokona, wyprzedzamy świat, inni uczą się od nas. Informacje z Chin docierały od stycznia. Instytucje zawiodły i znów, jak zawsze w trudnych czasach, jesteśmy zdani na siebie: na pomoc sąsiedzką, na społeczne

zbiórki, na ofiarność przedsiębiorców. Ma to i dobre społeczne strony. Okazuje się, że jesteśmy wspólnotą. Wspólnotą poza władzą.

Małe sklepiki jak zawsze są otwarte, ale panie ekspedientki odgrodziły się od klientów taśmą i parawanami ze sterczu. Na początek. Później pojawiły się bardziej estetyczne chromowane oszkłone przegrody i jednorazowe rękawiczki. Płynów do dezynfekcji brak. Ręce umyjemy w domu wodą i mydłem. W sobotę jest więcej klientów, bo to dzień „mięsny”. - Karkówki nie wystarczyło dla wszystkich. Nie ma w hurtowni - tłumaczy pani Agnieszka, reglamentując towar, zachęcając do podzielenia się. Chleb zamawiają według potrzeb, żeby nie zostawał, bo nie ma zwrotów. Tłoku nie ma, klienci kupują bez wybrzydzenia i szybko wychodzą. Czasem ktoś podsumuje sytuację dowcipną ripostą: zamiast maseczek będziemy mieć centralny port lotniczy do następnej akcji „Lot do domu”. Cezary Michalski pisze, że „w rzeczywistości wydarzenia losowe w rodzaju epidemii, trzęsienia ziemi, a nawet wojny światowej nie dają się tak do końca skutecznie zarządzać przez państwo, niezależnie od tego, kto nim akurat rządzi.” Najważniejsza w tym zdaniu jest fraza „tak do końca”. To prawda, zdarzają się sprawy, które wymagają elastycznego działania. Ale żeby być kompletnie nieprzygotowanym?

Mistrzami improwizacji byli Szopen i Mickiewicz. Zarządzanie państwem to wyobraźnia, dalekowzroczna strategia i, jak podpowiada mi znajomy, „nasłuchiwanie kosmosu”. Zamiast tego mieliśmy starcia polityczne, manifestacje mistyczne i inne loty w kosmos.

Na bieżąco spływają rachunki, listonosz przynosi urzędowe pisma polecone, kurier dostarcza zamówione przez Internet książki. Energa rękoma swojego pracownika wymienia licznik. Kiedy pytam, czy był testowany - on, nie licznik, czy jego wizyta jest dla mnie bezpieczna, wzrusza ramionami i robi swoje. „Koronawirus - to sprawa polityczna”, on się tym nie zajmuje. Ludzie pracują. W Dino, w Kauflandzie, w Agromie, w komunikacji autobusowej - zachowują środki ostrożności, z obawą wracają do domu. Tomasz, mąż pani Kasi ze spożywczego jeździ na ciężarówce. Przekracza granicę w Kolbuszowie. Wraca do domu i nikt nie wie, czy nie przywiezie niebezpiecznej choroby. Powinien być testowany, ale testowanie jest reglamentowane. Nie

wierzy w pomiar temperatury na granicy. Nie wierzy w obrazki w telewizji z przejść granicznych. Wie natomiast, że to, co zostaje po kilkudziesięciu godzinach przestoju ciężarówek, może być przyczyną kolejnej epidemii. Znowu komuś zabrakło wyobraźni. Prosta sprawa, postawić przenośne toalety i automaty z wodą i kanapkami. Inny mieszkaniec wsi, też z ciężarówki, zatrudniony w niemieckiej firmie zastanawia się czy wrócić, on byłby poddany kwarantannie, jak wszyscy powracający z zagranicy.

Włada, Halina, Marek martwią się o sezon. Ich bliscy tracą pracę w kraju i za granicą, będą wracać do domu. Trzeba będzie wszystko przeorganizować.

Na Mszy św. w niedzielę było sześć osób, w kościele filialnym w Rowach więcej. Rowy, Poddąbie są atrakcyjne nawet w czasach zarazy. Na plażach dużo ludzi. Nie pomagają apele sołtysów o przełożenie wycieczek na lepszy czas. Podobno tak jest wszędzie. Dlatego przepisy się zaostrzają. Do kościoła może pójść pięć osób, ale jak będzie w Niedzielę Palmową, Wielką Sobotę? Staniemy między tradycją i rozsądkiem. Dopóki nie dosięgnie nas bieda, dopóty wierzyć będziemy memowi, że „do Objazdy koronawirus nie dotrze, bo nie wie, gdzie to jest”? Bądźmy rozsądni, żarty się kończą. Coraz więcej zakażonych, codziennie docierają informacje o nowych zgonach. Ze światem tym bliskim i najdalszym łączą nas setki dróg, które przemierzają nasi bliscy i obcy, spragnieni morza i spokoju.

Przez wieś prowadzi pusta droga. Stoją drogowe pacholki i zasieki z taśmami bhp. Nic się nie dzieje. Zwykle zaczynał się już czas przygotowań do sezonu, to podstawa działalności w nadmorskim pasie. W telewizji wciąż mówią o antykryzysowej tarczy. Dyskusja trwa, obietniczki i postulaty ścierają się. Czy będzie jak Zeusa egida, czy uchroni przed klęską finansową małe nadmorskie pensjonaty? Wiejski pejzaż z koronawirusem rozjaśnia baner na lichym płocie: „Mój prezydent Andrzej Duda”. Wisi samotnie i chyba za długo, bo którejś nocy prezydentowi urósł wąsik, następnej ktoś domalował rysunek na czole. To znak, że w tej sprawie nie trzeba było się spieszyć. Po prostu falstart. Zwolennicy akcji wyborczej pana Dudy powinni raczej sięgnąć do szycia maseczek, nawet prowizorycznych, byłoby pożytecznie i bardziej na temat.

Czesława Długoszek
Objazda

W pierwszym tygodniu

Nakaz przebywania w domu. Zakaz zgromadzeń. Więc nikt nie wychodzi, nie ma pogaduszek w sklepie i przed sklepem. Na spacerowej ścieżce nie widać ludzi. Nie słysząc śmiechu i rozmów. Cisza. Przejeżdżają samochody. Sporadycznie ktoś przemyka do sklepu i po załatwieniu sprawunków szybko niknie za drzwiami swojego domu. Dzieci nie chodzą do szkoły ani do przedszkola. Babcie i dziadkowie nie wychodzą z wnukami na spacer. Cisza. I tylko ptaki coraz głośniejsze śpiewają. Nic nie zagłusza szczekania psów. No, niezupełnie. Sąsiad - rolnik

Wszyscy się boimy

Na początku było niedowierzanie. Sprawdzanie w różnych źródłach. Przerazenie. Ucieczka w sen. Obudzę się i wszystko będzie po staremu. Bo to tylko sen. Ale budzę się. Włączam telewizor. Wszyscy mają ten sam sen? Liczby na pasku. Panika. Zawieszenie zajęć w szkołach i na uczelniach. Telefon od syna - nie przyjeżdżaj, bo jesteś w grupie ryzyka! Zamknięto szkoły i uczelnie. Gorączkowo czytam wszystko o wirusie. Nikt nic o nim nie wie, oprócz tego, że zabija w okrutny sposób!



wyjeżdża w pole. Ziemia nie może leżeć odłogiem. Trzeba ją uprawiać. Znak normalności. Pracujący wychodzą do pracy - znak normalności.

Wiosna. Przekwitły krokusy i śnieżyczki. Zaczyna kwitnąć barwinek. Kwitną żonkile i pojawiają się pąki na tulipanach. Koty marczą zawzięcie wieczorami. Za oknem słońce. Jaskrawe, obiecujące. Rzeka Łupawa wartko płynie do morza. Nie niesie marzanny, bo nie miał kto jej utopić. Pod Grzybkiem - tak nazywa się miejsce rekreacyjne nad rzeką, nie płonęły ogniska i nie dochodził zapach pieczonych kiełbasek. Każdego roku odbywa się tu topienie marzanny, by uczcić nadejście wiosny. Daleko niesły się krzyki i śmiech. W takim świecie żyłam sobie spokojnie. Otoczona dźwiękami i obrazami. Wnuki, wyjazdy do miasta, spotkania w sklepie, rozmowy ze spotkanymi na spacerze ludźmi, czasami wypad na kawę. Jestem mobilna i mogę jechać wszędzie.

Co tak zmieniło życie? Koronawirus - podstępny, zaraźliwy i niebezpieczny. Epidemia o zasięgu globalnym. W ciągu kilku dni zniknęli spacerowicze, zamknęły się domy. Odosobnienie. Opustoszały półki w Biedronce i w Centrum. Kiedy zorientowałam się, że nie mam nic w lodówce, że brakuje

mi chleba, że nie będę mogła ugotować sobie jakiegoś obiadu, podjechałam do sklepu. Widok porażający. Ludzie z trudem pchali wózki wyładowane towarami: mąką, makaronem, kaszami, puszkami, a na szczycie opakowania papieru toaletowego. Oszupienie.

Ostatni raz takie wózki wyładowane po brzegi oglądałam w USA, w miasteczku Garfield, gdy ogłoszono obniżkę cen na odzież i chemię gospodarczą. Stałam na olbrzymim parkingu, czekając na córkę, która krążyła, by znaleźć miejsce do zaparkowania. To był parking zdolny pomieścić około tysiąca samochodów, bo wokół funkcjonowały wszelkie możliwe markety. W tym miejscu można było zrobić zakupy poczynawszy od artykułów spożywczych, odzieżowych, chemicznych, budowlanych, a skończywszy na meblach, akcesoriach ogrodowych. Załatwić sprawy w banku, skorzystać z usług fryzjera, kosmetyczki i pralni. Od czasu do czasu jakaś branża organizowała takie czyszczenie magazynów. Ludzie kupowali wszystko, bo to przecież taka okazja. I wtedy też widziałam rodziny wypychające po dwa wózki.

Nnigdy nie przypuszczałam, że zobaczę to w Polsce. Polacy raczej są rozsądni. Tak myślałam. - Chyba nie na zarazę umrę, ale z głodu. Na szczęście już następnego dnia mogłam zrobić zakupy, bo towar znalazł się na półkach. I tak jest do teraz.



Fot. Archiwum Autora

Fot. J. Maziejuk

Pamiętam z dzieciństwa, że ludzie też robili zapasy. I to chyba było w czasie incydentu w Zatoce Świń, gdy zagrożenie wojną było dość realne. Rodzice kupili wtedy worek soli, worek cukru, bo kapusta kiszona była w piwnicy, a mąka na strychu. Tak jakoś po dwóch czy trzech miesiącach na śmietnikach znalazły się wory z kaszami, mąką, bo załęgły się w nich robaki. Tata nam to opowiadał, ale mama i tak się upierała, że sól i zapalki muszą w domu zawsze być. A z cukru, który się zbrylił można wyprodukować bimber. Czy i tym razem dojdzie do takiego marnotrawstwa?

A może to pamięć stanu wojennego, gdy wszystko było reglamentowane i strach, że i teraz w obliczu pandemii może być żywność reglamentowana? A papier toaletowy nie do upolowania? Nie wiem, ale nie obawiałam się, spokojnie podchodząc do sytuacji. W końcu jeśli zachoruję i znajdę się pod opieką szpitala?... No, ale półki znów są zapelnione, papier toaletowy też jest. Tylko ludzi jakoś mniej. Chylkiem przemykają, omijają się z daleka, więc o żadnych pogaduszkach nie ma mowy. I rozumiem to. Komunikaty w telewizji są zastraszające. Sytuacja we Włoszech, w Hiszpanii, u sąsiadów z południa, ze wschodu i zachodu?!

Do okna zapukała sąsiadka. - Żyjesz? - Jeszcze żyję. Ale was coś nie widać na podwórku? - otworzyłam okno. Sąsiadka stała już w bezpiecznej odległości. - A my cały czas za magazynem. Tam przy kurniku zrobiliśmy sobie tunel. Posiałam salatek, kwiaty. Mój przy ulach. Nie wychodzimy. Nie oglądamy nawet telewizji. A dawno cię nie widziałam to sobie pomyślałam, że zapukam. Siostra mieszka w bloku, w mieście. Dzwoni co chwilę. Jest sama, schorowana, więc nie wychodzi, nudzi się. Na wsi to w ogródku każdy siedzi... I co to się dzieje! - pogadałyśmy jeszcze chwilę o tych czasach.

Rzeczywiście. O tej porze roku na wsi wszyscy pracują w ogródkach każdy chwilę pogada przez płot, a raczej pokrzyczy i wraca do grzebania w ziemi.

Siedziałam więc w domu, dzwoniąc i czekając na telefon. Brakowało mi kontaktu z wnukami, z sąsiadami i zwyczajnie widoku ludzi na ulicy. Rozmów o wszystkim i o niczym. Po tygodniu bezwzględnej posłuszeństwa, miałam dosyć. Mój samochód, mój garaż - moje zasady. I wyjeżdżałam. Potęgowo, Damnica, Czarna Dąbrówka, Redzikowo. Ale wszędzie pusto. Nie ma ludzi ani na przystankach, ani w parkach, ani przed sklepami, ani

na cmentarzach! Jadą samochody sporadycznie. Wygląda to dość surrealistycznie - ludzi nie ma, a pojazdy poruszają się.

Drugi tydzień był wyjątkowo słoneczny. Jadę do Karwna, nad jezioro. To pierwszy dzień kalendarzowej wiosny. Na parkingu stał jeden samochód, ale przecież to duża przestrzeń. Da się utrzymać dystans. Dochodzę do miejsca letniego plażowania. Jezioro w słońcu srebrzy się, migocze. Już z daleka słyszę plusk wody, pokrzykiwania. O moja ty, Materko! Stoję jak wryta: w odległości około pięćdziesięciu metrów od brzegu czworo ludzi się kąpie. W kostiumach kąpielowych, w czapkach na głowach. Na brzegu biega mały czarnobiały piesek, nosząc w pysku piłeczkę. Od wody trzyma się z daleka.

- Dzień dobry! - wykrzykuję. - To pierwszy dzień wiosny, nie lata.

- Wiemy! Zapraszamy! Woda ma cztery stopnie i jest doskonała na kąpiel! - odpowiadają.

- Dziękuję! Wielkie wyrazy szacunku za odwagę! - przyglądam się chwilę. Przede mną zatrzymuje się psiak. - Ty też uważasz, że to nie pora na kąpiel? - przekrzywił łebek i pochwyciwszy piłkę pobiegł. Ja też poszłam dalej, bo kąpiący zmiierzają do brzegu. Będą się ubierać i nie chcę ich krępować.

Po kilkunastu minutach wracam. Jestem ciekawska. Rodzina ubrana w dresy ćwiczy zamaszyście na brzegu. Chwilę rozmawiamy. Są morskami i najczęściej kąpią się w morzu, ale teraz nie można, więc przyjechali tu. Tylko, że woda jest zbyt ciepła?! Taka kąpiel dobrze robi, uodparnia.

Cały ten tydzień był nad wyraz ciepły i słoneczny. Ciągnęło człowieka na zewnątrz. Ogródki. A kto nie ma ogródka wyjeżdża do lasu. Jadę nad jezioro. Po leśnych drogach stoją pojedyncze samochody. Gdzieś mignęła mi postać biegacza. Rowerzysta. Poznałam. To nasza pielęgniarka z Ośrodka Zdrowia. Jest pasjonatką jazdy na rowerze. Już od lat. Mówiła mi kiedyś, że to jej sposób na odreagowanie stresu. Teraz też ją minęłam.

Rozmawiam sama ze sobą. Nie. Rozmawiam z autem. Mówię: - Mróweczko (peugeot 107), nie denerwuj się, nic ci nie będzie. Postawię cię daleko od innych... - odpowiada mi równomiernym mručeniem silnika i szumem opon. Toczę również rozmowy z moimi bliskimi. Opowiadam o swojej samotności, o strachu przed chorobą. O tęsknocie za wnukami, o lękach i obawach. No cóż! Pewne rzeczy trzeba

przepowiedzieć na głos, by nabrać dystansu. Urealnić. Myśli niewypowiedziane urastają do niebotycznych rozmiarów. A komu mogę o tym powiedzieć?

Nad jeziorem znowu spotkałam morsa. To facet po sześćdziesiątce. Morsuje od kilku lat. Najczęściej w morzu, ale teraz nie wolno, więc tu przyjechał. Woda ma trzy stopnie a powietrze jeszcze więcej. Najfajniej jest, gdy woda ma dwa stopnie a powietrze minus dwa. Chwilę rozmawiamy o sytuacji. Też jest przerażony. - A wie pani? Kilka lat temu czytałem przepowiednie Sybilli. Ona przepowiedziała, że przyjdą takie czasy, gdy zmarłych nie nadążą grzebać. I wszystko się sprawdzi. Jeszcze chwilę rozmawiamy. Nie widuje wnuków, chociaż mieszkają w tej samej miejscowości. Nie może spotkać się ze znajomymi. No cóż. Została frajda z kąpeli i wieczorny spacer z żoną do lasu. Odjechał.

Idę dalej Niebieskim Szlakiem. Ptaki śpiewają na cześć wiosny. Na wodzie dwa kaczory nastroszyły czuby i opływają się. Chyba walczą o względy samiczek, które obojętnie kawałek dalej nurkują w wodzie. Po drugiej stronie jeziora, przy niedostępnym brzegu, płyną dwa łabędzie. Spokój. I mnie też się on udziela. Mogę wracać do domu. Na kawusię. Łatwiej będzie znieść to przymusowe odosobnienie. Pewnie zadzwoni córka i opowie o sytuacji w Little Rock. Jakaś znajoma spanikowana, której opowiem o eskapadzie. Może to ją uspokoi. Teraz nawet na telefon nie czeka się z utęsknieniem.

Wszyscy się boimy. Ludzie martwią się o swoich bliskich, o pracę, o rachunki do zapłacenia. Nie wychodzą. Sąsiad - rolnik wprowadza na podwórko wielki tir, który przywiózł kilkanaście ton nawozów. Za chwilę wjedzie następny z sadzeniakami. Codziennie wyjeżdża w pole. Nie ma czasu na zastanawianie się. Przecież kiedyś wróci normalność. A ludzie muszą jeść. I to im trzeba zapewnić. I tylko na pasku u dołu ekranu coraz gorsze informacje. Coraz więcej zakażonych, coraz więcej smutnych wiadomości. Potulnie przyjmuję ograniczenia. Jeśli to jedyny sposób, żeby pokonać wirusa?

Teraz

Staram się oswoić tę zarazę. I nie dać się zwariować. Więc piszę, czytam, dziergam na drutach i udaję, że sprzątam. Bo rozmowy telefoniczne nie są budujące. Strach, albo teorie spiskowe.

Teresa Nowak, Łupawa



Zgodnie ze standardami i potrzebami

W 2019 roku do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku wpłynęło 20 decyzji z gmin kierujących osoby do domów pomocy społecznej. Wydano – z braku miejsca tylko 13 decyzji umieszczających. W tak zwanej rodzinnej pieczy zastępczej umieszczonych było 245 dzieci.

Do zadań własnych powiatu należy prowadzenie domów pomocy społecznej o zasięgu ponadgminnym oraz umieszczanie w nich skierowanych przez gminy osób. W powiecie słupskim działają 4 domy pomocy społecznej, w tym 3 publiczne: Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie dla przewlekle psychicznie chorych, Dom Pomocy Społecznej w Machowinie dla osób dorosłych niepełnosprawnych intelektualnie, Dom Pomocy Społecznej w Machowinku dla dorosłych, dzieci i młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie oraz Dom Pomocy Społecznej w Przytocku prowadzony przez Zgromadzenie Braci Szkół Chrześcijańskich dla dorosłych, dzieci i młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie.

Podstawowym zadaniem domu pomocy społecznej jest stworzenie jego mieszkańcom warunków egzystencji zbliżonych do życia rodzinnego oraz zaspokojenie ich bytowych i

duchowych potrzeb. Domy funkcjonują w sposób zapewniający właściwy zakres usług zgodny ze standardami określonymi dla danego typu domu, w oparciu o indywidualne potrzeby jego mieszkańców. Wszystkie domy pomocy społecznej działające w powiecie słupskim zapewniają swoim mieszkańcom usługi zgodne ze standardami. We wszystkich powołane są zespoły terapeutyczno-opiekuńcze, zajmujące się opracowaniem indywidualnych planów wsparcia mieszkańców oraz ich realizacją. W zakresie potrzeb bytowych placówki zapewniają: wyżywienie, odzież, obuwie, utrzymanie czystości. Usługi opiekuńcze polegają na udzielaniu pomocy w podstawowych czynnościach życiowych, załatwianiu spraw osobistych i pielęgnacji. Do usług wspomagających należy: organizacja terapii zajęciowej, podnoszenie sprawności, zapewnienie dostępu do biblioteki, kontaktu z kapłanem i

rodziną, organizacja świąt, rozwijanie samorządności, sprawienie pogrzebu zgodnego z wyznaniem zmarłego. Realizacja usług edukacyjnych w dwóch domach dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie sprowadza się do zapewniania pobierania nauki, uczestnictwa w zajęciach rewalidacyjno-wychowawczych oraz uczenia przez doświadczenie życiowe.

W roku 2019 do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku wpłynęło 20 decyzji kierujących do domów pomocy społecznej. W sumie wydano – z braku miejsc tylko 13 decyzji umieszczających. Z powiatu słupskiego umieszczono 6 osób. Na umieszczenie oczekiwały jeszcze 24 osoby, 7 z powiatu słupskiego. Ogółem w domach pomocy społecznej przebywało 416 osób.

Koszty utrzymania

Średni miesięczny koszt utrzymania mieszkańca w domu pomocy społecznej

o zasięgu powiatowym ustala starosta. Wyliczając taki koszt uwzględnia się roczne koszty działalności poszczególnych domów z roku poprzedniego, bez kosztów inwestycyjnych, wydatków bieżących na remonty i zakupów związanych z realizacją programu naprawczego, powiększone o prognozowany średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług konsumpcyjnych ogółem, przyjęty w ustawie budżetowej na rok kalendarzowy i dzieli przez liczbę miejsc w domu oraz przez 12 miesięcy. Zgodnie z Zarządzeniem Starosty Słupskiego z 25 marca 2019 roku, średni koszt utrzymania mieszkańca wyniósł: w Domu Pomocy Społecznej w Machowinie - 3.924 zł, w Domu Pomocy Społecznej w Machowinku - 3.826 zł, w Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie - 3.728 zł, w Domu Pomocy Społecznej w Przytoku - 3.846 zł. We wszystkich domach wzrósł on w porównaniu z 2018 rokiem. Wzrost spowodowany był większymi dochodami jednostek oraz większymi uzyskanymi dotacjami z budżetu państwa.

Śród 226 osób przyjętych do domów pomocy społecznej do 31 grudnia 2003 roku, 226 wnosilo opłaty, w tym 219 z emerytury lub renty, 7 z zasiłku stałego. Ze 190 osób przebywających w domach pomocy społecznej na podstawie decyzji wydanych po 1 stycznia 2004 roku, od 188 osób opłata wnoszona była z dopłatą gminy, 2 osoby same wnosily opłatę. W 2019 roku budżet wszystkich domów wyniósł 20 346 899,76 zł. Dotacja wojewody - 8 507 780,00 zł. Dochody własne (odpłatność mieszkańców) - 11 390 366,96 zł. Budżet ten był większy od poprzedniego (z 2018 roku) o 1 695 608,30 zł (9,1 proc.).

Średnia wojewódzka miesięczna dotacja na osobę w domach pomocy społecznej w 2019 roku wyniosła 3 160,00 zł (w 2018 roku - 2 970,00 zł). Domy Pomocy Społecznej w Lubuczewie, Machowinie i Machowinku otrzymały dodatkowe środki z budżetu powiatu słupskiego w łącznej wysokości 241 618,00 zł oraz dotację celową z budżetu państwa na zadania inwestycyjne w wysokości 206 800,00 zł.

Rodzinna piecza zastępcza

Funkcjonowanie pieczy zastępczej reguluje ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej, obowiązująca od 1 stycznia 2012 roku. W myśl tej ustawy piecza zastępcza prowadzona jest w formie rodzinnej i instytucjonalnej. Formami rodzinnej pieczy

zastępczej są: rodzina zastępcza i rodzinny dom dziecka. Rodziny zastępcze dzielą się na: spokrewnione, które tworzą małżonkowie lub osoba będąca wstępnym lub rodzeństwem dziecka, niezawodowe i zawodowe, w tym zawodowe pełniące funkcję pogotowia rodzinnego i zawodowe specjalistyczne. Rodziny niezawodowe, zawodowe oraz rodzinne domy dziecka tworzą małżeństwa lub osoby niepozostające w związku małżeńskim, niebędące wstępnymi lub rodzeństwem dziecka. Według sta-

choroba co najmniej jednego z rodziców. W 2019 roku ustanowiono ogółem 17 nowych rodzin zastępczych, a w rodzinnej pieczy zastępczej umieszczono 40 dzieci. Rozwiązano 21 rodzin zastępczych i rodzinnych domów dziecka. Czterdzieści sześciu dzieci oraz osób pełnoletnich opuściło rodziny zastępcze lub rodzinne domy dziecka. Między innymi do rodziców biologicznych powróciło 13 dzieci, 4 umieszczono w placówce opiekuńczo-wychowawczej, 2 zostało przysposobionych, 3 przenie-



nu na 31 grudnia 2019 roku w powiecie słupskim funkcjonowało 146 rodzin zastępczych i rodzinnych domów dziecka z 245 dziećmi w nich przebywającymi. Dziewięćdziesiąt osiem było rodzin spokrewnionych, 29 rodzin niezawodowych, 7 zawodowych, jedna zawodowa specjalistyczna, 3 zawodowe pełniące funkcję pogotowia rodzinnego oraz 8 rodzinnych domów dziecka.

Konieczność umieszczenia dziecka poza rodziną wynika przede wszystkim z dysfunkcji środowiska, w którym się ono wychowuje. Do najczęstszych przyczyn umieszczania dzieci w rodzinnej pieczy zastępczej należą: uzależnienie rodziców od alkoholu oraz bezradność w sprawach opiekuńczo-wychowawczych. Innymi są: pólseroctwo, sieroctwo, pobyt rodziców za granicą, niepełnosprawność oraz długotrwała lub ciężka

siono do innych form rodzinnej pieczy zastępczej, a 22 osiągnęło pełnoletniość.

Na 245 dzieci przebywających w rodzinach zastępczych 32 posiadało orzeczenie o niepełnosprawności. W ogólnej liczbie rodzin zastępczych dominowały rodziny spokrewnione z dzieckiem. Najwięcej dzieci w rodzinach zastępczych było w przedziale wiekowym od 7 do 13 oraz od 14 do 17 lat. Śród 98 rodzin zastępczych spokrewnionych z dzieckiem - 42 to osoby samotne, a 56 to małżeństwa, zaś spośród 29 rodzin niezawodowych - 11 to osoby samotne, a - 18 to małżeństwa. Osiem rodzinnych domów dziecka prowadzoną małżeństwa.

Rodzinie zastępczej oraz prowadzącemu rodzinny dom dziecka, na każde dziecko, przysługuje świadczenie na pokrycie kosztów jego utrzymania, nie

niższe niż 694 zł miesięcznie w przypadku dziecka umieszczonego w rodzinie zastępczej spokrewnionej i 1052 zł miesięcznie - w przypadku dziecka umieszczonego w rodzinie zastępczej zawodowej, niezawodowej lub rodzinnym domu dziecka. Rodzinie zastępczej przysługuje również dodatek na dziecko legitymujące się orzeczeniem o niepełnosprawności lub orzeczeniem o znacznym lub umiarkowanym stopniu niepełnosprawności w wysokości nie niższej niż 211 zł miesięcznie.

W 2019 roku łączna wysokość świadczeń na pokrycie kosztów utrzymania dzieci oraz przysługujących dodatków wyniosła 2.747.478,17 zł. Na wnioski rodziców zastępczych oraz po przeanalizowaniu sytuacji dziecka i rodziny, udzielono 26 jednorazowych świadczeń pieniężnych na pokrycie niezbędnych wydatków związanych z potrzebami przyjmowanego do rodziny dziecka, na łączną kwotę 20.109,00 zł.

Dwadzieścioru jeden dzieciom udzielono dofinansowania do wypoczynku poza miejscem zamieszkania. Ponadto 26 rodzinom udzielono jednorazowego, a 2 okresowego świadczenia pieniężnego na pokrycie kosztów związanych z wystąpieniem zdarzeń losowych lub innych mających wpływ na jakość sprawowanej opieki. Świadczenia te przeznaczone były m.in. na częściowe pokrycie kosztów związanych z prywatnymi konsultacjami, badaniami i diagnozami, zakupem okularów, aparatów słuchowych itp.

Na każde dziecko w wieku do ukończenia 18 roku życia, umieszczone w rodzinie zastępczej lub rodzinnym domu dziecka przysługuje dodatek wychowawczy w wysokości 500 zł miesięcznie. Dodatek taki przysługuje też na dzieci umieszczone w placówkach opiekuńczo-wychowawczych typu rodzinnego. W 2019 roku wypłacono dodatki wychowawcze dla rodzin zastępczych i rodzinnych domów dziecka w łącznej wysokości 1 324 549,09 zł oraz dodatki dla dzieci umieszczonych w placówce opiekuńczo-wychowawczej typu rodzinnego w łącznej wysokości 45 500,00 zł.

Dodatek wychowawczy na utrzymanie dzieci przysługuje też (od lipca 2019 roku) na każde dziecko w wieku do ukończenia 18 lat umieszczone w placówce opiekuńczo-wychowawczej typu socjalizacyjnego i interwencyjnego. W 2019 roku wypłacono dodatki dla dzieci w tych placówkach w łącznej wysokości 88 596,84 zł.

Na każde dziecko przebywające w pieczy zastępczej lub osobę uczącą się do ukończenia 20 roku życia oraz na dziecko lub osobę uczącą się - w przypadku legitymowania się orzeczeniem o niepełnosprawności do ukończenia 24 roku życia przysługuje raz w roku świadczenie „Dobry start” w wysokości 300,00 zł. W roku 2019 wypłacono je w łącznej wysokości 72 000 zł.

W ubiegłym roku jedna zawodowa rodzina zastępcza oraz siedem rodzinnych domów dziecka otrzymywało środki finansowe na utrzymanie lokalu mieszkalnego w budynku wielorodzinnym lub domu jednorodzinnym, gdzie prowadzona jest rodzina zastępcza lub rodzinny dom dziecka. Świadczenie jest przyznawane na podstawie przedstawianych przez wnioskodawców faktur i rachunków za czynsz, opłaty z tytułu najmu, opłaty za energię elektryczną i ciepłą, wodę, gaz, odbiór nieczystości stałych i płynnych, dźwig osobowy, antenę zbiorczą, abonament telewizyjny i radiowy, usługi telekomunikacyjne. W 2019 roku przyznano w sumie 92 takie świadczenia na łączną kwotę ponad 90 tys. złotych. Jeden rodzinny dom dziecka ubiegał się o przyznanie środków finansowych na pokrycie innych niezbędnych i nieprzewidzianych kosztów związanych z opieką i wychowaniem dziecka lub funkcjonowaniem domu. Przyznano mu taką pomoc. Natomiast osiem rodzinnych domów dziecka oraz dwie rodziny zawodowe otrzymały wsparcie poprzez zatrudnienie na podstawie umów cywilnoprawnych 12 osób do pomocy przy sprawowaniu opieki nad dziećmi i przy pracach gospodarskich.

W 2019 roku zawartych zostało 16 umów o pełnienie funkcji rodziny pomocowej z 11 rodzinami i realizowano 2 umowy o pełnienie takiej funkcji zawarte w grudniu 2018 roku. Rodziny te otrzymały świadczenie w łącznej wysokości ponad 7,2 tys. złotych, a na wynagrodzenia wraz z pochodnymi dla rodzin zastępczych oraz prowadzących rodzinne domy dziecka w 2019 roku przeznaczono 671 486,67 zł, w tym 197 233,51 zł dla zawodowych rodzin zastępczych, 137 418,22 zł dla zawodowych rodzin pełniących funkcje pogotowia rodzinnego oraz 360 834,20 zł dla prowadzących rodzinne domy dziecka.

Instytucjonalna piecza zastępcza

Instytucjonalna piecza zastępcza w powiecie słupskim sprawowana jest

w formie placówek opiekuńczo-wychowawczych typu socjalizacyjnego, rodzinnego i socjalizacyjno-interwencyjnego. W ramach Centrum Administracyjnego Domów dla Dzieci funkcjonuje pięć placówek opiekuńczo-wychowawczych: „Dom przy Kochanowskiego”, „Dom przy Tetmajera” i „Dom przy Kościuszki” - wszystkie w Ustce oraz „Dom przy Lotha” (w grudniu ub. roku przeniesiono do niego dzieci z „Mieszkania przy ulicy Jagielly”) i „Dom przy Głogowej” z 2 miejscami interwencyjnymi - oba w Słupsku. Fundacja Rodzinnej Opieki Zastępczej „Więzi Rodzinne” prowadzi w Luleminie placówkę opiekuńczo-wychowawczą typu rodzinnego „Gniazdo Rodzinne”.

W placówkach funkcjonujących w ramach Centrum Administracyjnego Domów dla Dzieci w Ustce i w Słupsku na koniec 2019 roku przebywało łącznie 58 dzieci, w tym 6 z innych powiatów (łęborskiego i białogardzkiego). W placówce w Luleminie przebywało 8 dzieci w wieku od 2 lat do 13 lat. W ciągu roku placówkę tę opuściło jedno dziecko w związku z adopcją. Łącznie w roku 2019 w instytucjonalnej pieczy zastępczej umieszczono 10 dzieci pochodzących z powiatu słupskiego. Zrealizowano wszystkie postanowienia sądowe. Dotyczyły one zarówno umieszczenia po raz pierwszy dzieci w placówce, jak i przeniesienia 7 dzieci z rodzin zastępczych. Placówki te w 2019 roku opuściło 22 wychowanków, w tym 18 z powiatu słupskiego, a 4 z innych powiatów. Wśród 18 wychowanków z powiatu słupskiego, 17 było pełnoletnich, którzy rozpoczęli proces usamodzielnienia.

Odpłatność za pobyt dzieci w pieczy zastępczej

Za pobyt dziecka w pieczy zastępczej rodzice ponoszą miesięczną opłatę w wysokości przyznanych świadczeń oraz dodatków - w przypadku umieszczenia dziecka w rodzinie zastępczej spokrewnionej, rodzinie zastępczej zawodowej, rodzinie zastępczej niezawodowej lub rodzinnym domu dziecka lub średnich miesięcznych wydatków przeznaczonych na utrzymanie dziecka w placówce opiekuńczo-wychowawczej, regionalnej placówce opiekuńczo-terapeutycznej oraz interwencyjnym ośrodku preadopcyjnym, w przypadku umieszczenia dziecka w placówce opiekuńczo-wy-

chowawczej typu socjalizacyjnego, interwencyjnego lub specjalistyczno-terapeutycznego.

W 2019 roku Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku wydało 83 decyzje administracyjne dotyczące opłaty za pobyt dzieci w pieczy zastępczej, w tym 14 decyzji odstępujących od ustalenia opłaty ze względu na niski dochód rodziców biologicznych (poniżej 200 proc. kryterium dochodowego zgodnie z ustawą o pomocy społecznej) lub jego brak. Wydało 7 decyzji ze względu na niski dochód (niższy niż 100 proc. kryterium dochodowego) osoby zobowiązanej, pozostający po pomniejszeniu o opłatę, 7 ze względu na pozostawanie osoby zobowiązanej na utrzymaniu innej osoby, 16 ze względu na regulowanie zobowiązań alimentacyjnych wobec dziecka. Trzy decyzje dotyczyły sytuacji, gdy osoby zobowiązane przebywały w jednostce pomocy społecznej, zakładzie opiekuńczo-leczniczym, zakładzie karnym lub areszcie śledczym. Siedem decyzji wydanych zostało ze względu na utrzymywanie się osoby zobowiązanej wyłącznie ze świadczeń pomocy społecznej, 13 ze względu na brak możliwości ustalenia miejsca pobytu osoby zobowiązanej, jedną z powodu długotrwałej choroby rodzica oraz 3 decyzje z powodu braku stałego dochodu rodzica i utrzymywania się z prac dorywczych.

Wydano też 12 decyzji ustalających odpłatności za pobyt dzieci w rodzinnej pieczy zastępczej na kwotę 109.310,89 zł. Trzydzieści jeden decyzji zostało zmienionych z różnych powodów, m.in. z uwagi na zmianę wysokości opłaty, odstąpienie od ustalania opłaty, na zmianę formy pieczy zastępczej, zmianę nazwiska dziecka bądź rodzica biologicznego. Trzy decyzje ustalające odpłatność wygasły z powodu opuszczenia przez dzieci pieczy zastępczej. W dwóch przypadkach odmówiono zmiany decyzji o opłacie, w dwóch też odmówiono umorzenia należności z tytułu opłaty za pobyt dziecka w pieczy. Decyzji umarzających całkowicie opłatę za pobyt dzieci w pieczy zastępczej wraz z odsetkami wydano 11 na łączną kwotę ponad 730 tys. złotych. M.in. sześć z nich z uwagi na to, że postępowanie egzekucyjne okazało się nieskuteczne. Decyzje o umorzeniach podjęto na podstawie zapisów uchwały Rady Powiatu Słupskiego, ustalając sytuację dochodową rodziny i możliwości wnoszenia opłaty.

Przyznawanie pomocy na usamodzielnianie, kontynuowanie nauki oraz pomocy w integracji ze środowiskiem

Pełnoletni wychowankowie opuszczający domy pomocy społecznej dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie, domy dla matek z małoletnimi dziećmi i kobiet w ciąży, schroniska dla nieletnich, zakłady poprawcze, specjalne ośrodki szkolno-wychowawcze, specjalne ośrodki wychowawcze, młodzieżowe ośrodki socjoterapii zapewniające całodobową opiekę lub młodzieżowe ośrodki wychowawcze, a także osoby, które opuściły placówki opiekuńczo-wychowawcze i rodziny zastępcze przed 1 stycznia 2012 roku otrzymują wsparcie na podstawie przepisów ustawy o pomocy społecznej. Mogą oni ubiegać się o przyznanie pomocy pieniężnej na kontynuowanie nauki, usamodzielnianie i zagospodarowanie w formie rzeczowej. W 2019 roku udzielono pomocy pieniężnej na kontynuowanie nauki trzem osobom - dwóm, które opuściły młodzieżowe ośrodki wychowawcze i jednej, która opuściła zakład poprawczy.

Osoby opuszczające rodziny zastępcze i placówki opiekuńczo-wychowawcze od 1 stycznia 2012 roku otrzymują pomoc w oparciu o przepisy ustawy z 9 czerwca 2011 roku o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Z pomocy na usamodzielnianie, kontynuowanie nauki i zagospodarowanie mogły skorzystać w przypadku gdy umieszczenie w pieczy zastępczej nastąpiło na podstawie orzeczenia sądu. Warunkiem otrzymania pomocy jest minimum trzyletni pobyt w rodzinie spokrewnionej lub minimum roczny w rodzinie zastępczej niezawodowej, zawodowej, rodzinnym domu dziecka, placówce opiekuńczo-wychowawczej lub regionalnej placówce opiekuńczo-terapeutycznej.

Pomoc na usamodzielnianie oraz pomoc na zagospodarowanie przyznawana była osobom, których dochód miesięczny nie przekraczał 1200 zł. Pomoc na kontynuowanie nauki przysługiwała, jeżeli osoba kontynuowała naukę, niezależnie od osiąganego dochodu. W 2019 roku udzielono też pomocy w usamodzielnianiu 68 osobom, w tym 25, które opuściły placówkę opiekuńczo-wychowawczą i 43, które opuściły rodziny zastępcze.

Urszula Dąbrowska
Dyrektor Powiatowego Centrum
Pomocy Rodzinie w Słupsku

Bałtyk – m

Sto lat temu, 10 lutego 1920 roku w Pucku odbyły się symboliczne zaślubiny z morzem. Zostały zorganizowane dla uczczenia włączenia Pomorza w granice odrodzonej Polski. Aktu zaślubin dokonał jeden z najbardziej zasłużonych polskich dowódców, współtwórca Błękitnej Armii, gen. Józef Haller.



Fot. Archiwum Autora

nasze okno na świat

Niedawno wspominaliśmy to wielkie wydarzenie dokumentujące uzyskanie dostępu Rzeczypospolitej do Bałtyku, czciliśmy dokonując rekonstrukcji tamtego czasu. Zastanawialiśmy się, na czym polegały naprawę zaślubin, jakie fakty je poprzedzały i kto brał w nich udział z ówczesnych przedstawicieli władzy.

Polskie wojsko prowadziło w tym czasie intensywne działania na Pomorzu, odzyskując kolejne miasta. Niemcy za wszelką cenę utrudniali i zwlekali z realizacją postanowień traktatu wersalskiego, który przyznawał Polsce ówczesne Pomorze i dostęp do morza - niestety w ograniczonej wielkości.



Dowódcą wojska polskiego, liczącego wówczas ponad 20 tysięcy żołnierzy, do odbijania polskiego Pomorza, został wyznaczony gen. Józef Haller. Wykorzystując konflikty polityczne i zamieszki w Niemczech zajął on Pomorze bez walki.

Najważniejsze, przewidziane z tej okazji uroczystości miały początkowo dotyczyć zanurzenia polskich sztandarów w falach Bałtyku. Pomysł zaślubin pojawił się w ostatniej chwili, z inicjatywy mieszczan gdańskich, którzy wykonali specjalne pierścienie. Stały się one wielkim symbolem zaślubin Polski z Bałtykiem.

Pamiętnikarze dokładnie opisują przyjazd 10 lutego 1920 roku w godzinach porannych generała Hallera do Gdańska pociągiem z Torunia. Na dworcu czekały na niego tłumy Polaków i lokalne władze. Podczas spotkania dwie platynowe obrączki wręczył gen. Hallerowi dr Józef Wybicki, pierwszy starosta pomorski. Jedną obrączkę generał Haller wrzucił kilka godzin później w wody Bałtyku podczas uroczystości w Pucku. Drugą nosił kolejnych czterdzieści lat na palcu.

Kronikarze odnotowują przybyłego na tamtejsze puckie uroczystości przedstawiciela władzy centralnej w osobie ministra spraw wewnętrznych, przyszedłszy prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i delegację sejmową. Problemy krajowe nie pozwoliły na przybycie marszałka Józefa Piłsudskiego i ówczesnego premiera rządu - Leopolda Skulskiego.

W wyniku postanowień traktatu wersalskiego Polska otrzymała 140 kilometrów wybrzeża bez jakiegokolwiek zaplecza portowego. Była na nim tylko niewielka przystań rybacka w Pucku, która nie posiadała nawet jednej większej łodzi, z której gen. Haller mógłby dokonać aktu zaślubin z morzem. Pierścień wrzucił do wód Bałtyku siedząc na koniu.

Rocznicowe uroczystości nawiązywały do tych wydarzeń. Rozpoczęły się 10 lutego w Pucku o godzinie 10-ej na placu przed kościołem pw. św. Apostołów Piotra i Pawła. Tutaj prezydent RP Andrzej Duda odsłonił tablicę upamiętniającą 100. rocznicę zaślubin Polski z morzem i powrotu Pomorza do macierzy. Poświęcił ją metropolita gdański,

abp Sławoj Leszek Głódź. Następnie na rogu ulicy 1 Maja i Starego Rynku, Andrzej Duda złożył wieniec pod tablicą upamiętniającą mieszkańców Pucka, wywiezionych i pomordowanych przez Niemców w Lasach Piaśnickich w 1939 roku.

Później prezydent Duda i Jarosław Szarek - prezes Instytutu Pamięci Narodowej oraz Hanna Pruchniewska - burmistrz Pucka odsłoniли na Starym Rynku tablicę pamiątkową poświęconą współorganizatorom uroczystości zaślubin Polski z Bałtykiem w 1920 roku. Jednym z nich był Antoni Miotk (1874 - 1942), ówczesny członek puckich władz miejskich, polski działacz niepodległościowy i społeczny.

Po nabożeństwie uczestnicy uroczystości w asyście kompanii reprezentacyjnej i orkiestry Marynarki Wojennej przeszli do portu rybackiego. Tu o godzinie 13-ej odbył się akt odnowienia zaślubin Polski z morzem i przemówił prezydent RP.

Po tych wydarzeniach Andrzej Duda odwiedził jeszcze Władysławowo, gdzie na placu przed pomnikiem gen. Józefa Hallera spotkał się z mieszkańcami. Następnie złożył wieniec pod pomnikiem Antoniego Abrahama (1869 - 1923), wybitnego bojownika o polskie Pomorze, uznanego za „króla Kaszubów”.

Na zakończenie głównych obchodów prezydent RP A. Duda udał się do Wejherowa, gdzie na Placu Jakuba Wejhera spotkał się z mieszkańcami, a w kościele parafialnym pw. Trójcy Świętej odsłonił tablicę poświęconą inkorporacji Pomorza Gdańskiego do Polski. Ostatnim punktem wizyty prezydenta RP w Wejherowie był udział w uroczystym koncercie w Filharmonii Kaszubskiej. Prezydentowi towarzyszyła małżonka Agata Kornhauser-Duda.

W nawiązaniu do uroczystości sprzed stu lat z Dworca Głównego w Gdańsku wyruszył specjalny pociąg do Pucka. Powitały go lokalne władze i po tej ceremonii rekonstruktorzy, zaproszeni goście oraz mieszkańcy sformowali wspólny pochód i ulicami miasta przeszli na rynek. W porcie aktor grający generała Hallera wjechał konno na nabrzeże i, tak jak przed stu laty gen. Haller, dokonał uroczystego aktu zaślubin z morzem. Przy dźwiękach hymnu wciągnięta została na maszt biało-czerwona bandera - symbol na zawsze panowania Polski nad Bałtykiem.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Kocham to, co robię

Marek Czaban to człowiek morza, trener, specjalista do spraw sportu i żeglarstwa dzieci, opiekun uczniowskich kół żeglarskich, pracuje w Szkole Podstawowej w Kobylnicy.

- Jestem nauczycielem wychowania fizycznego i trenerem żeglarstwa, bo kocham szum morza i wiatru, wschody i zachody słońca pod żaglami, a praca sterem i szotami podczas prowadzenia jachtu, dostarcza mi wiele radości. Po ukończeniu Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku postanowiłem zachęcać młodych ludzi do aktywności, by żeglarstwo stało się ich pasją. Praca ta dostarcza mi życiowej energii.

- Kto zaraził pana miłością do sportów wodnych?

- Miłością do sportów wodnych zaraził mnie ojciec, spędzał ze mną dużo czasu, zabierał na spływy kajakowe, rejsy pod żaglami, łowiliśmy razem ryby. Dzisiaj żegluję, pływam na desce z żaglem, amatorsko uprawiam kiteboarding. Dzielę się też swoją pasją z młodzieżą.

- Co łączy pana z Maciejem Rutkowskim - mistrzem świata w windsurfingu?

- Z tym wielokrotnym mistrzem świata łączy mnie wspólna pasja do windsurfingu oraz propagowanie żeglarstwa deskowego. Jeździmy po szkołach, opowiadamy o przygodach ze sportem, wspólnie zachęcamy młodzież do uprawiania windsurfingu. Maciek jest jedynym w Polsce zawodowym windsurferem, jedynym na świecie startującym w trzech dyscyplinach windsurfingowych. Nasza wspólna przygoda rozpoczęła się w latach 80-tych, kiedy byłem jednym z pierwszych pionierów żeglarstwa deskowego w Słupsku, a on miał... sześć lat. Tata Maćka też żeglował na desce. Często wspólnie spotykaliśmy się nad jeziorem Gardno na treningach. Jako doświadczony żeglarz dzieliłem się swoją wiedzą z Maćkiem i tak nasza przyjaźń trwa do dziś.

- Jest pan organizatorem rejsów, pikników żeglarskich dla uczniów i nauczycieli...

- Realizuję Pomorski Program Edukacji Morskiej, który wspiera rozwój dzieci i młodzieży poprzez edukację morską, upowszechnianie dobrych praktyk wypracowanych przez placówki

oświatowe oraz inne instytucje zaangażowane w edukację morską. Program ten przypomina, że gospodarka wodna ma ogromne znaczenie dla rozwoju naszego województwa. Przede wszystkim wspiera działania szkół. Specyfika zadań dydaktycznych sprzyja zdobywaniu wiedzy w sposób praktyczny i twórczy - rozwiązywaniu problemów. Wpływa na kształtowanie postaw i budowanie tożsamości uczniów. Ważnym elementem jest też współpraca z klubami żeglarskimi, wzajemne wspieranie.

- Wiem, że jest też jeszcze inny program bliski panu sercu - PolSailing....

- Ogólnopolski Program Edukacji Żeglarskiej - PolSailing jest największym w Polsce, kompleksowym programem wsparcia i popularyzacji żeglarstwa, realizowanym przez Polski Związek Żeglarski we współpracy z okręgowymi związkami żeglarskimi i klubami. Obejmuje szkolenia teoretyczne i praktyczną naukę żeglarstwa na jachtach Optimist.

Nie skupia się tylko na nauce podstaw żeglarstwa, ale również na przekazywaniu wiedzy i umiejętności zasad bezpieczeństwa nad wodą, zdrowego stylu życia oraz odpowiedniej postawy wobec środowiska naturalnego. To wspaniały sposób na rozpoczęcie żeglarskiej przygody. Formułą programu są praktyczne zajęcia na wodzie, zajęcia teoretyczne i ogólnorozwojowe. Otwarte warsztaty edukacji żeglarskiej i zajęcia aktywizacyjne realizowane są w dziesięciu szkołach i placówkach edukacyjnych powiatu słupskiego. W kraju programem objętych jest dziesięć województw i szesnaście miast.

- Jakie korzyści daje żeglarstwo?

- Żeglarstwo to wspaniała przygoda, pasja, Uczy dostrzegać piękno otaczającego świata, pozwala istnieć jako jego część. W moim przypadku to... moje życie. Po prostu kocham to, co robię.

**Rozmawiała: Dominika Rosłan
Kobylnica**



Zebrano uczniów, którzy chcieli poznać latarnie i poznawanie zaczęło od tych, które znajdują się najbliżej. Projekt mógł ruszyć dzięki edukacji morskiej, która obecnie jest jednym z priorytetów w szkole. Kształcenie morskie polega na rozbudzaniu miłości do morza, poznawaniu historii związanych z morzem, poznawaniu żeglarzy, marynarzy, rybaków, latarników, straży przybrzeżnej...

Na pierwszą wycieczkę uczniowie wybrali się do latarni morskiej w Uście. Wpłynięcie do tego portu zawsze należało do trudnych ze względu na występujące silne prądy przybrzeżne i niesprzyjające żegludze wiatry. Kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku zaplanowano rozbudowę portu, to jednym z najważniejszych zadań stało się oznakowanie toru wejściowego, a z tym wiązała się budowa latarni, która wskazywałaby bezpieczną drogę do portu. Taką latarnię zbudowano w 1892 roku i do dziś przetrwała ona w pierwotnym kształcie. Po drugiej wojnie światowej, już od 15 listopada 1945 roku wskazywała drogę wszystkim żeglującym po Bałtyku. Na jej optykę składają się: cylindryczna soczewka o średnicy 100 cm i dwie żarówki o mocy 1 kW, w dwupozycyjnym zmieniaczu. Jedna żarówka świeci, a druga stanowi rezerwę i jest automatycznie przesuwana w miejsce pierwszej, gdy ta ulegnie przepaleniu.

Interesujący architektonicznie obiekt składa się z ośmiokątnej wieży i niewiele niższego, przylegającego do niej budynku latarników. Uroku dodaje mu niezliczona ilość gzymsów, daszków oraz kilkanaście okien różnego rozmiaru. W 1993 roku latarnia została wpisana do rejestru zabytków. Jest wysoka na 19 metrów.

Kiedyś mówiło się, że w latarni strażnicy rzadko zgadzali się na samodzielne pełnienie warty. Mówiono również, że w czasie sztormu, poza szumem wody, słychać było jęki, postękiwania i stukot. Według legendy, za te odgłosy odpowiedzialne miały być duchy nieszczęśników, którzy tragicznie zakończyli swoje życie w wyniku błędów latarników.

W Czołpinie uczniowie po pokonaniu wielu schodów weszli na taras widokowy tamtejszej latarni. Widok zapierał dech w piersiach. Na horyzoncie widać: morze, jeziora, wydmy, od południowej strony - górę Rowokół.

Latarnia ta jest najbardziej oddalona od skupisk ludzkich. Jej wieża ma 25 metrów wysokości. Zbudowana została z

Fot. Z. Miszewska / wikipedia.org

Projekt „Latarnia”

W Szkole Podstawowej im. Ludzi Morza w Objeździe grupa uczniów wpadła na pomysł zwiedzenia i poznania historii latarni znajdujących się nad polskim morzem. Tak ruszył projekt „Latarnia”.

czerwonej cegły na najwyższej wydmy. Urządzenie optyczne składa się z katadioptrycznej soczewki bębnowej, wyprodukowanej w 1926 roku we Francji, złożonej z 43 szlifowanych pierścieni pryzmatycznych i halogenowej żarówki o mocy 1000 W umieszczonej w zmieniaczu dwupozycyjnym. O wielkości soczewki mówią jej wymiary: 275 na 180 centymetrów.

Znalazłam dokument informujący o uruchomieniu tej latarni: „Rząd Królewski, Koszalin, 23 listopada 1874 - obwieszczenie.

Na wysokiej wydmy koło Scholpin, około 16 mil morskich na wschód od Stolpmunde została zbudowana latarnia, której światło zostanie zapalone z dniem 15 stycznia 1875 r.

Pasma wysokich wydym, na której stoi latarnia znajduje się około ½ mili morskiej od plaży i około 55,5 metra ponad średni stan wody Bałtyku. Wysokość światła ponad pasmem wydym wynosi 20 metrów, tak że przy wysokości światła 75,5 metra ponad średni poziom wody Bałtyku, jest ono widoczne przy klarownej pogodzie na odległość 12 mil morskich.”

Ostatnim prawdziwym latarnikiem w Czołpinie był Bogumił Laskowski. Przełom XX i XXI wieku to powolna automatyzacja latarni. Praca latarnika nie jest już taka jaka była kiedyś. Polega teraz na nadzorze urządzeń. Latarnik obsługujący obecnie latarnię mieszka

we wsi oddalonej o około 10 kilometrów od swojego miejsca pracy. Modernizacja obiektu, przeprowadzona w 2000 roku, pozwala mu na automatyczne, natychmiastowe uzyskanie informacji dotyczących aktualnego stanu urządzeń bez potrzeby wychodzenia z domu. W grudniu 1993 roku czołpińska latarnia została wpisana do rejestru zabytków. Od 2006 udostępniono ją turystom.

* * *

Budowa latarni morskich przyczyniła się do zwiększenia bezpieczeństwa żeglugi i jej dynamicznego rozwoju na całym świecie. Przez wiele stuleci stanowiły jedyny pewny punkt odniesienia dla statków nawigujących w przybrzeżnych obszarach mórz. Obecny stopień rozwoju nawigacji - zwłaszcza satelitarnej sprawił, że latarnie morskie utraciły swoje pierwotne znaczenie. Tym niemniej większość z nich jest nadal utrzymywana, między innymi dlatego, że skomplikowana i wrażliwa na uszkodzenia technika elektroniczna bywa niekiedy zawodna. Ponadto latarnie morskie są przejawem interesującej myśli technicznej i znajdują uznanie w cywilizowanych społecznościach. Z uwagi na swą charakterystyczną architekturę i imponującą wysokość, dają możliwość ogarnięcia wzrokiem szerokiego, morskiego horyzontu.

Hanna Cheda, Objazda



Fot. J. Maziejuk

Sto lat od wojny palikowej

Przed stu laty, a dokładnie 16 lutego 1920 roku dzięki tzw. wojnie palikowej udało się przesunąć granicę Polski z Niemcami na zachód od kilku do kilkunastu kilometrów. Ogromna odwaga mieszkańców Borowego Młyna, Upiłki, Konarzyna przyczyniła się do tego, że kaszubskie gospodarstwa rolne w całości znalazły się po polskiej stronie.

Kaszubi od wielu lat byli nastawieni patriotycznie. Potrafili niejednokrotnie stanąć w obronie Ojczyzny. Wzięli udział w Odsieczy Wiedeńskiej, dzielnie walczyli z Turkami w oddziałach Jana III Sobieskiego.

Podpisany w czerwcu 1919 roku pokój z Niemcami w Wersalu spowodował, że granica przecinała Gochy na dwie nierówne części. Odcinała tysiące hektarów łąk, pastwisk i lasów, pozostawiając je po stronie niemieckiej. Geodeci w ślad za ustaleniami z Wersalu wbijali paliki, które w przyszłości miały zastąpić słupy graniczne. Przed stu laty, a dokładnie 16 lutego 1920 roku dzięki tzw. wojnie palikowej udało się przesunąć granicę Polski z Niemcami na zachód od kilku do kilkunastu kilometrów. Ogromna odwaga mieszkańców Borowego Młyna, Upiłki, Konarzyna, którzy zgromadzili się w liczbie nawet tysiąca osób, przyczyniła się do tego, że kaszubskie gospodarstwa rolne w całości znalazły się po polskiej stronie.

Pokojowe przepychanki z niemieckim Grenzschutzem zakończyły się powodzeniem. Ważną postacią na Gochach okazał się w tym czasie ks. Bernard Gończ. Umiał zachęcić

mieszkańców Borowego Młyna do ofiar na budowę nowego Kościoła w latach 1914 - 1916. Potrafił zebrać dużą grupę Kaszubów i doprowadził do bojkotu przy wytyczaniu granicy polsko-niemieckiej. Od listopada 1920 roku został on proboszczem w Luzinie pod Wejherowem. Niemcy doskonale znali patriotyczne nastawienie księdza Bernarda. Aresztowany trafił najpierw do Wejherowa, potem do Stutthofu. W kwietniu 1940 roku zesłany został do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie zmarł 12 lipca.

Warto podkreślić, że 12 czerwca 2009 roku, ks. Bernard Gończ - lider Kaszubów podczas wojny palikowej został patronem Zespołu Szkół i Przedszkola w Borowym Młynie. Była to decyzja uczniów, a radni gminy Lipnica przyklepali ten pomysł. Wcześniej, bo w 2008 roku w pobliżu miejsca gdzie rozegrały się słynne wydarzenia postawiono Leśną Strażnicę Tradycji i Patriotyzmu. W każdą rocznicę wojny palikowej mają tu miejsce okolicznościowe uroczystości. Dodajmy jeszcze, że przed dwoma laty nad jeziorem Lipczyno Wielkie zasadzono aleję lipową w miejsce przesuniętej granicy.

Szczególny charakter miały uroczystości stulecia wojny palikowej. Objęte zostały patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy. List od prezydenta odczytał jego doradca Piotr Karczewski. Na ręce Zbigniewa Talewskiego prezesa Fundacji Naji Goche, który pielęgnuje patriotyczne tradycje lipnickich Kaszubów, specjalny list przesłał również Józef Guzdek, biskup połowy Wojska Polskiego.

Przy pięknej słonecznej pogodzie zgromadzili się licznie mieszkańcy lipnickich wsi, m.in. potomkowie tych, co walczyli o swoje ziemie. W kościele w Borowym Młynie miała miejsce uroczysta msza święta. Przybyły liczne poczty sztandarowe Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz firm i instytucji z terenu południowych Kaszub. Bardzo podniosły charakter miało odsłonięcie rocznicowe Kamienia Pamięci na terenie Strażnicy Tradycji i Patriotyzmu. Były wystrzały armatnie, a także kwiaty i wieńce od przybyłych delegacji. Powrót obszarów Gochów do macierzy - to była ważna uroczystość. Pozostanie w pamięci nie tylko dorosłych, ale również dzieci i młodzieży. Cieszy, że będzie kontynuowana.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk

Zakochany w Łupawie

Wypada odnotować drugą książkę byłego wojewody słupskiego Macieja Kobylińskiego, wieloletniego prezydenta Słupska, która ukazała się na lokalnym rynku wydawniczym, po pierwszej, wydanej w 2018 roku i poświęconej Księżtwu Słupskiemu. Jej tytuł to „Łupawa moja miłość”.

Dawnym i obecnym mieszkańcom Łupawy poświęcił M. Kobyliński swoją najnowszą książkę. Dlaczego im? Jest właścicielem pięknego XVIII-wiecznego parku i wybudowanego w nim w 1999 roku klasycystycznego dworu polskiego, na fundamentach XVII-wiecznego pałacu w stylu barokowym w Łupawie, nad rzeką o tej samej nazwie. Jest mieszkańcem Łupawy. To jeden powód. Drugi? Kulisy swej miłości do Łupawy wyjaśnia sam we Wstępie do książki. „Znam ją od 1964 roku (w tym roku więc Jubileusz 55-ciu lat!), gdy przyjechałem z Ojcem, z Borzęcina, dwukonną bryczką jadąc przez Dobieszewo, Podole Małe, Dobrą i dalej pięknymi lasami. To raptem 15 km. Ojciec poszedł rozmawiać z dyrektorem kombinatu, a ja bryczką zwiedziłem Łupawę i okolice. Miałem raptem 20 lat, ale dobrze pamiętam, jak bardzo mi się tutaj podobało, szczególnie okolice młyna, kościoła i oczywiście malownicza rzeka. Park był zaniedbany, a imponujący pałac w nie najlepszym stanie. Kiedy po 30 latach, poszukując miejsca na budowę domu, namówiony przez pana Kazimierza Stępnia, właściciela pałacu w Grąbkowie, przyjechałem w to miejsce ponownie, pałacu już nie było, a park przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy.”

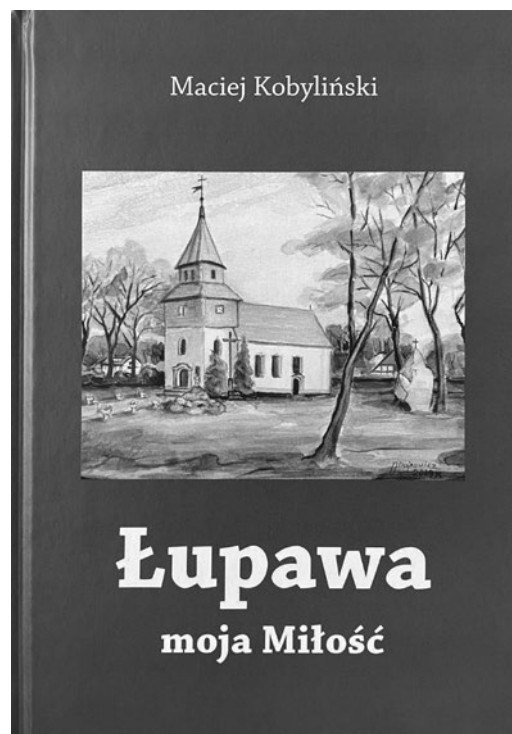
Co było dalej? Wiadomo. M. Kobyliński nabył rozległy park i na fundamentach dawnego pałacu wybudował dwór, w którym z czasem zamieszkał. „Było coś tajemniczego i majestatycznego w tym dużym, pięknym ongiś założeniu parkowym... Wydawało mi się, że ponad stuletnie drzewa, stojąc w śmiecach, otoczone zdziczałymi krzakami, wyciągają gałęzie w niemym geście rozpaczy i bólu, jakoby wołały o pomoc. Wiatr potęgował to wrażenie... Byłem z żoną i dwudziestoletnim synem. Zaczęłem im z emfazą opowiadać, jednocześnie pokazując, gdzie będzie stał upragniony dwór, gdzie droga dojazdowa do szosy, gdzie alejki, trawniki, krzewy, kwiaty... Pomyśleli, że zważywałem i wzięwszy mnie delikatnie pod rękę, zaczęli prowadzić do samochodu, zgodnie mi przytakując. I to

był początek mej miłości do Łupawy.” - czytamy dalej we Wstępie.

I jeszcze jedno wyznanie autora: „Teraz, po ponad dwudziestu latach od wybudowania domu na resztkach kamiennych fundamentów okazałego, dwuskrzydłowego siedemnastowiecznego pałacu i uporządkowaniu parku, wiem, że była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. No i jak tu nie kochać Łupawy?”

Z tej miłości do Łupawy i magicznego w niej miejsca związanego z dawnym parkiem i pałacem, a także - jak się okazuje - do współczesnych mieszkańców tej miejscowości, wzięła się druga książka Macieja Kobylińskiego. W niej mamy rozdział o Łupawie prehistorycznej, rozdział o zabytkach Łupawy i ich dawnych właścicielach, rozdział o trudnych początkach Łupawy po drugiej wojnie światowej i jej najnowszej historii oraz w Epilogu, co może zaskakiwać, ale jest szczególnie walorem tej książki - Alfabet Łupawski. W nim zdjęcia i sylwetki zasłużonych, znanych i długoletnich mieszkańców Łupawy. Razem 41 nazwisk osób, do których (lub ich rodzin) autor dotarł, zapisał ich sylwetki i poświęcił im sporo miejsca w swojej książce. Napisał: „Stałem przed trudnym zadaniem znalezienia łupawian, których zaakceptuje większość mieszkańców. Mam nadzieję, że mi się to udało. Najważniejszym moim zamiarem było zachować pamięć o ludziach, którzy odeszli, jak również o tych, którzy są w jesieni życia, a zegar czasu biegnie szybko. Starłem się pokazać ludzi starszych na kanwie Ich przodków, nie zapominając o wnukach i prawnukach. Nie było to łatwe zadanie. Niektórzy nie pamiętali lub nie chcieli bym pisał o Ich przodkach, lub czasami też o następach.”

Na podkreślenie zasługuje też forma książki - swobodnego opowiadania. Dzięki temu, mimo że jest to lektura z gatunku popularnonaukowych, bardzo łatwo się ją czyta, przyswaja i akceptuje. Autorką zamieszczonych w książce kilku akwareli (w tym umieszczonej na okładce, zatytułowanej „XVIII-wieczny barokowy kościół w Łupawie”), namalowanych



specjalnie na potrzeby wydawnictwa i nawiązujących tematycznie do historii Łupawy, jest znana malarka Anna Dajnowicz z Potęgowa. Jest też jeszcze jeden ważny wpis, ze względów wydawniczych, podziękowanie skierowane do Pana Mariusza Szadzińskiego, właściciela „Łupawii”, największego pracodawcy w Łupawie, „za ogromną pomoc w wydaniu książki”. Publikacja ukazała się w kolorze i otrzymała twardą okładkę, co gwarantuje jej z pewnością długą żywotność. To ważne, bo przyda się potomnym.

„Cieszę się, kiedy powstają książki o naszym regionie, cieszę się że są ludzie, którzy z pasją potrafią pisać o swoich małych ojczyznach. Tym bardziej, że choć autor nie jest rodowitym Pomorzaninem - urodził się w Warszawie, studiował w Poznaniu - to na pewno Pomorzaninem jest w sercu. Pamiętam go jako wieloletniego włodarza Słupska. Dziś już na emeryturze, oddaje się swojej pasji - dziejopisarstwu” - napisał Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego w swojej przedmowie. Marszałek przyjechał też na promocję książki do Łupawy.

Jerzy Juchniewicz, Słupsk

Artyści charytatywnie, czyli koncert „Dar Serca”

Występ charytatywny w koncercie „Dar Serca” dla domów dziecka w Wilnie był poza lekcją empatii okazją do zaprezentowania się wymagającej słupskiej publiczności.

Nasze skarby - nasze szkraby! Pani Beata jest dumna ze swego syna Michała. Chłopiec ma dopiero 10 lat, a już jest solistą w zespole Pieśni i Tańca „Pomorzacy”. Kiedy miał siedem lat, pod okiem instruktorki Elżbiety Rus uczył się tańczyć. Ale marzył, żeby śpiewać. - Kocha śpiewać - mówi jego mama. - Należy do szkolnego chóru, a początki jego artystycznej „kariery” miały miejsce w wiejskiej świetlicy w Objeździe u pani Marylki Teresińskiej - dodaje z dumą pani Beata.

W „Pomorzakach” Michał śpiewa od półtora roku i zawsze pilnuje terminów prób. Bardzo lubi panią Małgorzatę Karamańską, instruktorkę, ponieważ wszystkie dzieci traktuje serdecznie i serio. Michał jest dumny, że może śpiewać solówki.

Roksana Białek, jest uczennicą klasy maturalnej V Liceum Ogólnokształcącego im Z. Herberta w Słupsku. Od

najwcześniejszych szkolnych lat uwielbia śpiewać. Jej talent odkryła i nauczyła smakować radość małych scenicznych sukcesów pierwsza nauczycielka - Zorza Sędzicka ze Szkoły Podstawowej w Objeździe. „Gdy jestem na scenie wiem, że ktoś przez najbliższe minuty będzie słuchał tego, co mam do przekazania. Za każdym razem jest to dla mnie wyzwanie, daję z siebie wszystko z szacunku dla słuchaczy. Oczywiście śpiewam głównie covery, ale od początku mojej pracy z panią Zorzą zawsze dużo rozmawiamy o tekstach, to pierwszy etap pracy nad każdą piosenką. Zasadą jest też wspólne poszukiwanie ciekawych, niekonwencjonalnych utworów. Dziękuję pani Zorzy Sędzickiej. Wciąż razem pracujemy. Moje sukcesy, między innymi I miejsce na międzynarodowym festiwalu w Bułgarii w 2018 roku, oraz wyróżnienie podczas przeglądu poezji śpiewanej w Damnicy w 2019 roku. Występowałam z orkiestrą Sinfonia Baltica oraz Słupską Sinfonietą. Teraz przygotowuję się do finałowego etapu konkursu „Swego nie znacie” na Akademii Pomorskiej. Poza tym od kilku lat uczestniczę w grupie chóru i tańca w Zespole Pieśni i Tańca „Pomorzacy”. Te zajęcia dają mi inne spojrzenie na muzykę, poznaję ludowe utwory. W „Pomorzakach” odkryłam radość tańczenia. Taniec uczy panowania nad ciałem, jest ciekawym rodzajem aktywności. Pogodzenie prób solo, zajęć w zespołach „Babiniec” i „Pomorzacy” z nauką w czasie roku szkolnego nie jest łatwe. Pomagają mi rodzice, wożą mnie z jednych zajęć na drugie: z Machowinka do Rowów lub do Objeźdy. Nauczyłam się organizować czas i samodyscypliny. Mimo przyjemności jaką dają mi zarówno śpiew, jak i taniec, nie wiążę z nimi przyszłości. Pozostaną przyjemnością. Zawód wybiorę inny.

Odkrywać talenty, rozbudzać pasję, uczyć wrażliwości na kulturę, w tym szczególnie na kulturę ludową - to zadanie profesjonalnych instruktorów



Fot. J. Maziejuk

- powiedziałby ktoś z boku. Żeby jednak wydobyć z dzieci ukryte skarby talentu, rozbudzić w nich trwałą motywację do pracy nad sobą, trzeba też być pasjonatem. Dzieci są czułym sejsmografem, nie da się ich oszukać, ale czują i dzielą się zaangażowaniem. Stąd sukcesy zespołu „Pomorzacy” i indywidualne Roksańy.

Również Hania Płatwa lubi uczestniczyć w życiu zespołu „Pomorzacy”. Dlatego jej rodzice cieszą się z sukcesów zespołu i wspólnie z instruktorami odkrywają talenty córki. Zainwestowali w prywatne lekcje śpiewu i naukę gry na pianinie. Śpiew stał się pasją i ulubioną zabawą Hani, również tak na co dzień. Justyna i Tomek, rodzice dziewczynki, podjęli współpracę z Centrum Kultury Gminy Ustka, razem zabiegają o fundusze na założenie profesjonalnej strony internetowej zespołu.

Zespół „Pomorzacy” zawiązał się w 2010 roku z powstałego wcześniej dziecięcego chóru „Pomorskie Słowiki” prowadzonego przez panią Małgorzatę

Polska Filharmonia Sinfonia Baltica im. Wojciecha Kilara
Centrum Edukacji Regionalnej i Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Grodna

ZAPRASZAJĄ NA

KONCERT CHARYTATYWNY

DAR SERCA

WYSTĄPIĄ:

CHÓR ALEBARKI
ALINA POŻEWICZ – WILNO
KAPELA Z GMINY DAMNICA
ZESPÓŁ TANCECZNY PŁAS
ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA POMORZACY
CHÓR WIARUSY

Sala Filharmonii Sinfonia Baltica, ul. Jana Pawła II 3 w Słupsku
Sobota, 7 marca 2020 r., godz. 17.00

Przedprzedaż biletów w kasach Filharmonii oraz w sekretariacie Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna, al. Sienkiewicza 19

Prowadzenie: **DANIEL KLUSEK**

Patronat: Patronszy medal: GŁOS GP24.pl

Karamańską i Elżbietę Rus. Zajęcia odbywają się w szkole podstawowej oraz świetlicy wiejskiej w Objeździe. Do zespołu należą dzieci przyjęte na podstawie castingu z dziesięciu miejscowości z terenu gminy Ustka: Wodnicy, Ustki, Poddąbia, Machowinka, Objazdy, Objazdykol., Gębina, Bałamątku, Dębiny, Rowów oraz Słupska. Instruktorami są panie Małgorzata Karamańska i Viktorija Litovska.

Pani Małgorzata Karamańska artystyczne szlify po ukończeniu szkoły

ludowego, towarzyskiego, aerobiku, zumbi, rytmiki.

Rozwiedzenie się o roli wychowania muzycznego w rozwoju dziecka, o ożywieniu relacji rodzinnych opartych na wspólnym muzykowaniu, przygotowaniu do pełnienia ról w dorosłym życiu społecznym, pozostaje na drugim planie. Na pewno muzyka i taniec dają dzieciom radość, a poza muzyką dzieci poznają zasady współpracy, wartość dobrej organizacji, punktualności i dyscypliny.



muzycznej w Warszawie brała w „Mazowszu” - jako skrzypaczka i solistka. Na Pomorze przyjechała na wakacje w 1981 roku i została na zawsze. Najpierw mieszkała w Dębiniu, teraz w Objeździe. Związała się z wiejską kulturą muzyczną naszej okolicy pracą w zespołach „Echo Objazdy” i „Pomorzacy”.

Udział w koncercie „Dar Serca” był kolejnym publicznym występem zespołu pod jej kierunkiem. Dzieciaki fantastycznie zaśpiewały wiązankę ludowych melodii: równiutko, rytmicznie, melodyjnie. Michał ze swadą wykonał partię solową, ujawniając niemały talent aktorski. Roksana śpiewała w chórze i pięknie, z ogromnym wdziękiem, zatańczyła w „Walcu nr 2” - Dmitrija Szostakowicza - w choreografii na cztery pary.

Do sukcesu scenicznego przyczyniła się Viktorija Litovska, instruktorka tańca, absolwentka Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu Kultury i Sztuki. W Centrum Kultury Gminy Ustka pracuje od października 2018 roku. Uczy dzieci podstaw tańca klasycznego,

Występy „Pomorzaków” od kilku lat uatrakcyjnią gminne i powiatowe uroczystości: dożynki, wigilie dla seniorów i słuchaczy uniwersytetu trzeciego wieku. „Pomorzaków” zaprasza „Kormoran” z Rowów i hotel „Grand Lubicz” z Ustki, występowali w Anklam w Niemczech w ramach regionalnej współpracy oraz partnerstwa gminy Ustka z Bukownem. Występ charytatywny w koncercie „Dar Serca” dla domów dziecka w Wilnie był poza lekcją empatii okazją do zaprezentowania się wymagającej słupskiej publiczności.

Anna Pożlewicz przyjechała do Polski dziesięć lat temu, kierując się głosem serca. Serce ostygło, a ona została w Słupsku i buduje od nowa swoje życie. Z wykształcenia jest inżynierem budownictwa, z pasji magistrem sztuki (magisterium uzyskała w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku), kompozytorką i wokalistką. Śpiewała zawsze i większość z nas zna ją jako wokalistkę akompaniującą sobie na gitarze. Od 1995 roku występowała na scenach Litwy, Polski, Białorusi,

Łotwy. Zaproszenie do udziału w koncercie Dar Serca przyjęła z wdzięcznością i wzruszeniem. Wciąż czuje się wilnianką i uważa, że jej serdecznym obowiązkiem jest pomoc polskim dzieciom na Litwie.

Przygotowując repertuar na koncert przypomniawszy sobie dawne zdarzenie. W 1997 roku odbywało się w Wilnie coroczne spotkanie poetów z całego świata: „Maj nad Wilią”. Brała udział w tym niezwykłym spotkaniu jako wokalistka. W podziękowaniu dostała kilka tomików wierszy. Szczególnie wzruszył ją wiersz Aleksandra Śnieżki „List z domu dziecka”. Kilka dni później w kościele św. Kazimierza w Wilnie zobaczyła grupkę dzieci pod opieką zakonnic. O czym marzą te dzieci? - zastanawiała się. Po powrocie do domu skomponowała muzykę do wiersza „Śnieżki”:

*„Zabierz mnie mamo kochana do domu
Czemu nie wracasz tak długo
leż mej tęsknoty nie wydaj nikomu...”*

Przejmująco zabrzmiała dziecięca skarga wyśpiewana przez Annę. „Polskie” domy dziecka - to nazwa nieoficjalna, zwyczajowa - określająca placówki, w których dzieci polskiego pochodzenia stanowią większość. Takie domy dziecka są w Solecznikach, Podbrodziu i w Wilnie na Antokolu. Róża Pabedinska z Departamentu Dzieci Ministerstwa Zabezpieczenia Społecznego i Pracy Republiki Litewskiej podaje, że „pod koniec 2019 roku na Litwie opieka sprawowana była nad 7244 dziećmi, w tym nad 4775 w rodzinach, w rodzinnych domach dziecka - nad 349 dziećmi, w centrach opieki - nad 219, w domach dziecka - nad 1901, w tym we wspólnotowych domach dziecka - nad 536 dziećmi.” Fundacja przyjaciół Grodna i Wilna i wiele innych stowarzyszeń i fundacji organizuje różne formy pomocy opuszczonym z różnych przyczyn dzieciom. Charytatywny koncert „Dar Serca” w Słupsku na rzecz dzieciaków z Wilna zorganizowały we współpracy Polska Filharmonia Sinfonia Baltica im. Wojciecha Kilara, powiatowe Centrum Edukacji Regionalnej i Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna, zapraszając do udziału sześciu wykonawców z terenu powiatu słupskiego.

Anna Pożlewicz przy skrzypcowym akompaniamencie Piotra Pendzicha wykonała pięć utworów. Poza „Listem” usłyszeliśmy „Polskie kwiaty”, pieśń napisaną w 1976 roku przez Barbarę Ponichtę - nazaretankę Magdalenę z okazji przyjazdu z Ameryki do Polski siostry zakonnej, która wiele lat spędziła na obczyźnie.

Widownia podjęła melodię i słowa popularnej pieśni:

*„Bo najpiękniejsze
Są polskie kwiaty
Stokrotki, fiołki
Kaczeńce i maki
Pod polskim niebem
W szczyrim polu wyrosły
Ojczyście kwiaty
W ich urodzie, zapachu jest Polska”*

Piosenka „Nie mów” powstała do słów Charlesa Fustera (1866 - 1929) szwajcarskiego poety, krytyka literackiego i pisarza - w tłumaczeniu Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Anna Pożlewicz napisała muzykę. Od 2001 roku wykonuje piosenkę przy różnych okazjach. Opowiada o intymności, kruchości uczuć.

Ponadto usłyszeliśmy piosenkę Jerzego Petersburskiego do słów polskich Stanisława Laudana i rosyjskich Jakuba Galickija. Szczególną wartością wykonawstwa Anny Pożlewicz jest umiejętność przechodzenia między językami polskim i rosyjskim. Taką umiejętność zaprezentowała w „Modlitwie” Bułata Okudżawy. Przypomniała poza tym słowa autora: „Ta piosenka nie ma nic wspólnego z „Modlitwą” Francois’a Villona. Pisałem wiersze o sobie, o moim życiu. Ale redaktorzy nie chcieli tego tak drukować i nazwałem je „Modlitwą Francois’a Villona”.

Piękny występ! Widownia nagrodziła artystów brawami i domagała się bisów, na które, niestety, nie było czasu.

Teraz będzie o Kapeli z Gminy Damnica. Najpierw jedna informacja zupełnie nie na temat: Filip Gurlacz wygrał w drugim odcinku show „Twoja Twarz Brzmi Znajomo”, przyjmując rolę popularnego rapera Eminema. Rywalami byli Czadoman, Maurycy Popiel, Karol Dziuba, Gosia Andrzejewicz, Marta Gałuszewska, Natalia Avelon i Kamila Boruta.

- Tak na poważnie, co spowodowało, że wybrał Pan aktorstwo?” - pytała Filipa Mariola Morcinková (SCI24.pl, 1.02.2019) - „Jest wiele zawodów na „A”. (Śmiech) „Chyba los. Nie uczyłem się na tyle dobrze, żeby zostać „a” nestezjologiem. Miałem lęk wysokości, więc „a”stronauta też odpadał. A jednocześnie interesowało mnie wszystko, chciałem być każdym. Zawód aktora mi na to pozwala. Poza tym mój tata jest z wykształcenia aktorem, a zawsze byłem w niego bardzo wpatrzony, więc można powiedzieć, że to też trochę jego вина”.

Zacznijmy zatem od początku. Grzegorz Gurlacz od 2013 roku jest

dyrektorem Centrum Edukacji i Kultury w Damnicy. To funkcja oficjalna, sprawowana rzetelnie, odpowiedzialnie i empatycznie, co zaraz wyjaśnię. Kiedy przygotowywałam wstęp do albumu Jana Maziejuka o kapliczkach powiatu słupskiego, szukałam informacji o kapliczce z Damnicy u zbiegu dwóch ulic. Interesowało mnie, kto jest inicjatorem budowy kapliczki, a kto autorem figury. Wcale nieoczywiste wydawało się skierowanie pytania do Centrum Kultury i Edukacji w Damnicy, pytałam w innych miejscach, ale ostatecznie poprosiłam o pomoc pana dyrektora. Też nie wiedział, ale w ciągu dwóch godzin miałam potrzebną informację. Jeszcze raz bardzo dziękuję! Ta sytuacja to portret człowieka i odpowiedzialnego pracownika kultury.

nałam oczywiście Grzegorza Gurlacza jako jednego z twórców kabaretu DKD (Doczekać Końca Dnia) - działającego od 1989 roku przy Teatrze Nowym w Słupsku. Poszukiwanie przez ośrodki kultury nowych form jest naturalną potrzebą, ale rozumienie kontekstu i wszystkich celów to zadanie dla najlepszych.

Znalazłam w necie wypowiedź pana Gurlacza na Kongresie Kultury Pomorskiej zorganizowanym przez Kaszubski Uniwersytet Ludowy. Zgadzam się, podzielałam jego widzenie wiejskiej kultury na Pomorzu, zarówno w łączności z zastanym bogactwem kultury kaszubskiej, jak i w odrębności wzorów kultury przywiezionych na ziemię słupską przez repatriantów. I najważniejsze, Grzegorz Gurlacz rozumie kulturę wiejską jako dynamiczny proces, nie zaś archiwum, rodzaj skansenu, z którego, oczywiście, warto korzystać, ale się w nim nie zamykać.

Obok DKD w 2014 roku z jego inicjatywy przy Centrum Edukacji i Kultury w Damnicy powstała „Kapela z Gminy Damnica”. „Kapela śpiewa utwory własne i koncertuje dla przyjemności.” - opisują swoją pracę członkowie kapeli: Anna Krysiak, Justyna Bryzgalska, Ewelina Matuszewska, Zbyszek Szczepaniak, Agnieszka Gurlacz i Grzegorz Gurlacz. W 2016 roku zespół wydał płytę „Po drugiej stronie okna”, nagrania zespołu dostępne są w sieci na YouTube.

Zespół przyjął zaproszenie do udziału w koncercie „Dar Serca”. Nie wiem, czy na wypełnionej do ostatniego miejsca Sali Nowego Teatru w Słupsku była pani Beata Kozina, ale jej ocena zespołu na portalu fb ujmuje wszystko, co

o zespole i występie w koncercie trzeba powiedzieć: „Koncertująca filharmoniczka, znany kabareciarz na poważnym stanowisku, akordeonista z naszych wspomnień i dwie dziewczyny o świetnych głosach to wydawałoby się mydło i powidło. Nieoczywiste połączenie osobowości z różnych bajek zaowocowało formacją o niesamowitym potencjale artystycznym, Świetne brzmienie, niebanalne teksty bez zadęcia, zrozumiałe, ale jednocześnie mądre i nieprzekombinowane. Połączenie poezji śpiewanej z folkowymi antraktaami - stylizowana na bałkańskie smaczki czyni Kapelę niekwestionowanym newsem na naszym małym lokalnym rynku muzycznym. To było pyszne, żywe sukcesów i coraz wyższych tonów.” Nic dodać, nic ująć. Kapelę widzowie przyjęli z entuzjazmem. Aż żal, że takich koncertów prezentujących dorobek muzyczny regionu jest mało.

Kogo zatem dziwi sukces Filipa Gurlacza, skoro nie od dziś wiadomo, że niedaleko pada jabłko...

Na scenie słupskiego Teatru Nowego w koncercie „Dar Serca” wystąpiły też panie z żeńskiego zespołu wokalnego AleBabki, (dawny Ruczaj), z Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy pod dyrygenturą Elżbiety Stec. W zespole śpiewają: Lucyna Bonat, Marianna Borek, Bożena Sykuła, Teresa Dąbrowska, Bożena Kołodyńska, Wiesława Krzysztofik, Krystyna Sikorska, Elżbieta Stolarczyk, Anna Bąba, Bogusława Stefanowska, Elżbieta Żyszkowska. Im przypadł honor rozpoczęcia koncertu nieformalnym hymnem Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna z muzyką Zbigniewa Lewickiego i słowami Mariana Boratyńskiego, założyciela i pierwszego prezesa Towarzystwa. Widzowie usłyszeli ponadto piosenki „Przybyli ułani”, „W moim ogródeczku” i „Quo vadis, Domine”.

W koncercie wystąpiły również młodzieżowe zespoły taneczne „Kick” z Damnicy i „Płás” z Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku. Oba zespoły prowadzi pani Teresa Czyżewska, doświadczona i wielokrotnie uhonorowana nagrodami instruktorka. Dzieci i młodzież oczarowały widownię układami choreograficznymi, precyzją wykonywania figur, ale przede wszystkim pięknymi ludowymi strojami. W jednym z wywiadów pani Teresa Czyżewska powiedziała bardzo ważne słowa: - „Nie wielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że taniec jest jednym ze sposobów przeżywania i przekazywania emocji, formą

fizycznego i duchowego wyżycia oraz sposobem zabawy i odpężenia. Zespołowe tańczenie umożliwia nawet mniej zdolnemu dziecku aktywne uczestnictwo w zabawach ruchowych, ośmiela go, daje mu poczucie wartości i szanse osiągnięcia sukcesu. Uruchamia także wiele procesów w kształtowaniu osobowości młodego człowieka.” Dodałabym tylko, że przez włączenie rodziców w proces przygotowania dziecka do występu na scenie, w pracę z „kulturą” włącza się niemała społeczność. Dlatego nie sposób przecenić tej formy działalności. Najtrwalsze więzi wspólnotowe tworzy się przez uczestnictwo w kulturze.

Wojskowy Zespół Wokalny „Wiarusy” przedstawił swój stały program, czyli wiązanek pieśni żołnierskich oraz „Marsz rezerwistów” i pieśń „Niepodległa, niepokorna”. Wiarusami kieruje ppłk Romuald Detmer. - Założycielem zespołu był ppłk. lek. Stanisław Szarmach, dlatego zespół nosi jego imię. Zespół koncertuje od lat i ma w dorobku liczne nagrody. Dzieje zespołu udokumentowane prowadzoną z pieczołowitością „Kroniką” są jednocześnie historią wojskowości na ziemi słupskiej.

* * *

Gdzieś w świecie szalał już groźny koronawirus. Wierzyliśmy, że do nas nie dotrze, a nawet jeżeli, to nie będzie to nic groźnego. Prowadzący koncert Daniel Klusek pozwalał sobie na nieśmiałe żarty na ten temat. Żart rozluźnia atmosferę, pozwala na nawiązanie łączności z widownią. Tak było i teraz. Kilka dni później wszyscy stanęliśmy wobec groźnego przeciwnika. Placówki kultury, praca zespołów, świetlice, teatry i szkoły zostały zamknięte. Na stronach internetowych pojawiły się ostrzegawcze komunikaty: „W związku z zaleceniami Ministerstwa Zdrowia wynikającymi z konieczności zapobiegania rozprzestrzenianiu się koronawirusa od 12 do 22 marca br. wszystkie zajęcia w Centrum Edukacji i Kultury w Dąbnie zostają odwołane. O wznowieniu zajęć będziemy informować na bieżąco za pośrednictwem naszej strony internetowej oraz fb.” Kwarantanna została przedłużona, na razie do 12 kwietnia.

**Czesława Długoszek
Objazda**

Maluję ukochany ocean ze zdjęć i wspomnień

Zawijaliśmy do różnych portów. Byłem w Urugwaju, w Brazylii, a nawet na Falklandach. Fotografowałem, malowałem. Wszystko było ciekawe, niezwykle, niesamowite. Byli Metysi, Mulaci zazwyczaj biedni, ale życzliwi, uśmiechnięci. Biali – wyniośli, nieufni i raczej bogaci. Ale prawdziwą nędzę zobaczyłem w Rio de Janeiro. Tam na obrzeżach były slumsy. Sklecone z dykty, pogiętych blach budy, bez prądu, wody... To naprawdę było przerażające. Przestałem wtedy myśleć o sobie jak o biedaku.



Fot. J. Maziejuk

Urodził się 4 kwietnia 1955 roku w Złotowie. Ojciec był milicjantem, matka nie pracowała. W 1966 przeprowadzili się do Słupska. Mirek, po ukończeniu szkoły podstawowej, kontynuował naukę w Przyszkolowej Szkole Zawodowej przy Komunalnym Przedsiębiorstwie Napraw Autobusów, w klasie elektryk mechanik. Po jej ukończeniu podjął naukę w technikum, w trybie wieczorowym, pracując w zakładzie. Zasadniczą służbę wojskową odbywał

w jednostce Marynarki Wojennej w Jarosławcu - jako sygnalizator. Po służbie podjął naukę w Liceum Ogólnokształcącym przy ulicy Bieruta w Słupsku (obecnie Szarych Szeregów) i nadal pracował w „Kapenie”. Po odejściu z powodu przynależności do Solidarności, zatrudnił się w „Korabiu” i nauczył rybaczek. Potem przeniósł do „Gryfa” - Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich. W 1979 roku zawarł związek małżeński, by po dwudziestu pięciu

latach się rozwieść. Obecnie mieszka w Starej Dąbrowie. Wspomina żonę, Małgorzatę. Ale raczej nie dziwi go, że odeszła. Ma dwóch synów, którzy odwiedzają go dość często.

- Rysowanie zawsze sprawiało mi przyjemność, ale pasja ta ujawniła się na lekcji, gdy zamiast uważać, naszkicowałem nauczycielkę. Był to mój pierwszy akt i przedostatni szkic człowieka. Dostałem ocenę niedostateczną za nieuwagę, a rysunek został skonfiskowany. Przypadkiem zobaczyła go pani od rysunków i postawiła mi piątkę. Zauważyła, że mam talent. A miałem wtedy osiem lat. To wyróżnienie pani od rysunków wprowało mnie w dumę. Czymś się zacząłem wyróżniać. Postanowiłem poświęcić się rysunkom. Niestety, rodzice niezbyt wierzyli w moje zdolności i miałem kłopot ze zdobywaniem kredek, farb. To były czasy ubogie w takie akcesoria. Nikt też nie pomyślał, by mnie zapisać do jakiegoś kółka plastycznego. Dopiero w szkole średniej poznałem Sylwestra Frasia, wzornika obuwni pracującego w Północnych Zakładach Obuwniczych „Alka” w dziale wzornictwa. Jemu zawdzięczam praktycznie całą wiedzę o podstawach malowania. Zaprosił mnie do siebie. W jego mieszkaniu było mnóstwo obrazów. Pokazał swoją pracownię urządzone w piwnicy. Byłem zachwycony jego obrazami. Opowiadał mi o farbach i kładzeniu ich na płótno, o łączeniu kolorów, oprawianiu obrazów w ramki. Zapisalem się do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Dzięki temu mogłem taniej kupić farby, pędzle i inne przybory, bo RSTK miało większy dostęp do różnych materiałów i ułatwiali nabycie niedostępnych w sklepach artykułów. Organizowali też plenery malarskie i wtedy mogłem podglądać innych, doszkalać się, bo przecież nie skończyłem żadnej szkoły plastycznej. Przysłuchiwałem się dyskusjom o sztuce. Zaczęłem też gromadzić albumy i czasopisma o sztuce. Uczylem się, próbowałem sił w różnych tematach, najczęściej malowałem martwą naturę.

Za przynależność do Solidarności zwolniono mnie z „Kapeny” i wtedy zatrudniłem się w usteckim „Korabiu”. Zaczęłem się uczyć rybactwa. Pływałem po Bałtyku. Zakochałem się w morzu. Szybko przyswoilem sobie umiejętności i wiedzę o rybaczaniu. Ciągnęła mnie wielka woda. Przeniosłem się do Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich „Gryf”, bo marzyłem o oceanach. Miałem szansę wypłynąć

na ocean. Zobaczyć „na żywo” bezmiar wody. Łowiliśmy w Atlantyku. Obserwowałem ocean w każdej wolnej chwili. I uległem fascynacji jego potęgą, nieobliczalnością. Nigdy nie miałem doświadczenia widoku fal, chmur. Ocean każdego dnia był inny, każdy wschód i każdy zachód słońca niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju. Chmury, obłoki i fale, i pustka wokół. Malowałem, fotografowałem, starałem się wszystko utrwalić. Jednocześnie uczyłem się języka angielskiego w każdej wolnej chwili, a na statku rybackim nie ma ich za dużo. Marzyłem o zwiedzaniu świata, nie tylko portów, gdy statek zacumuje przy brzegu, by odnowić zapasy i porobić drobne naprawy. Ciekawiło mnie, jak żyją ludzie, których przodkowie przybyli tu na kruchych żaglowcach, pokonując ocean. Każde miejsce było dla mnie egzotyczne, fascynujące i inspirujące. Żeby spełnić te marzenia, musiałem mieć pieniądze. Musiałem zarobić, bo płace były nędzne - marne 150 dolarów miesięcznie. Kolegom starczało to tylko na wyjście do knajpy i zakup drobnych upominków. Nie chodziłem z nimi, bo jestem zupełnym abstynentem. W czasie postojów zwiedzałem, przyglądałem się portom, ludziom i miejscom. Jakże one były różne od naszych. Z łądu patrzyłem na morze. Ono inaczej się prezentuje z łądu niż ze statku i malowałem. Oczywiście, sprzedawałem swoje morskie pejzaże. Kupowali najczęściej Polacy, którzy na wieść o zawinięciu do portu polskiego statku, licznie przybywali, wypytując o Polskę. Ale też zamawiali obrazy z martwą naturą, obrazy przeznaczone w konkretne miejsce w ich domach. Często z prośbą o rodzime krajobrazy, które mówiłyby o ojczystych stronach.

Kiedyś łowiliśmy kalmary na południowym Atlantyku i złapał nas cyklon. Ledwo z życiem uszliśmy, a statek został poważnie uszkodzony. Z trudem dopłynęliśmy do Buenos Aires. Tam musieliśmy wprowadzić statek na suchy dok i dokonać napraw. Trzy miesiące staliśmy. Sprzedałem dużo obrazów Polonusom. Malowałem na zamówienie martwą naturę, ale nie pasowało mi to. Wołałem malować morze. Zwiedziłem wtedy całe miasto. Zauroczyło mnie miasto ze swymi czystymi parkami, czystym, błękitnym niebem. I taką hiszpańską atmosferą. Nie wydawałem pieniędzy. Oszczędzałem, przeczuwając, że jeszcze mnie czeka wielka przygoda.

Zawijaliśmy do różnych portów. Byłem w Urugwaju, w Brazylii, a nawet

na Falklandach. Fotografowałem, malowałem. Wszystko było ciekawe, niezwykle, niesamowite: architektura, ulice, parki, roślinność i ludzie. Metysi, Mulaci zazwyczaj biedni, ale życzliwi, uśmiechnięci. Biali wyniośli, nieufni i raczej bogaci. Nasze pensje w porównaniu z pensjami załóg innych bander, wydawały się nędzne, ale prawdziwą nędzę zobaczyłem w Rio de Janeiro. Tam na obrzeżach były slumsy. Sklecone z dykty, pociętych blach budy, bez prądu, wody... To naprawdę było przerażające. Trafiliśmy tam w czasie ich słynnego karnawału. Taneczny korowód na głównej alei, postać Chrystusa na skale



Fot. J. Maziejuk

i nędza obrzeży. Przestałem wtedy myśleć o sobie jak o biedaku.

W 1987 roku przycumowaliśmy w porcie w Vancouver. Postanowiłem zejść ze statku i przedostać się do USA. Nielegalnie, bez dokumentów. Przez zieloną granicę przeprowadził nas Indianin. Czy myślałem nad tym krokiem? Chyba nie za bardzo. W razie czego, wiedziałem, że mnie deportują do kraju, ale tu wtedy panował reżim i władze emigracyjne USA patrzyły trochę z przymrużeniem oka na takich jak ja, bo wielu wtedy tak postąpiło. Mogłem poprosić o azyl. Przebywałem w Stanach sześć lat, ciągle pracując i przenosząc się z miejsca na miejsce. Zwiedziłem San Francisco, Los Angeles, Seattle (tu zaciągnąłem się na statek Golden Age Fisher i pływałem na Morze Beringa) i do

wiele innych miejsc. Pracowałem jako pomywacz, sprzątac, a nawet pastuch bydła w Teksasie. Opanowałem wtedy jazdę w siodle. Proszę mi wierzyć, to wcale nie jest łatwe. Po pierwszym dniu miałem odparzone siedzenie, ale farmer dobrze płacił, więc cierpiałem i pracowałem. Miałem swoje plany na przyszłość, więc oszczędzałem. Trochę malowałem, ale trudno było to robić w ciągłej podróży.

Pan Mirek na chwilę zamilkł, pograżając się we wspomnieniach. Życie miał pełne wrażeń. W zasadzie spełniły się jego marzenia o podróżach. Rozglądam się po pokoju. Ściany - to wielkie



morze, przy podłodze - żółty piasek plaży i wychylające się z kąta wielkie palmy. Przed ścianą - olbrzymi ekran telewizora i wygodny fotel. Można się w nim rozsiąść i czuć się trochę jak na plaży. Przygnębia mnie to trochę, bo morze jest rozszalałe, ciemne i nawet plaża nie nastraja optymistycznie.

Wszędzie wiszą obrazy, stoją przy ścianach, leżą na meblach - duże, mniejsze i całkiem małe formaty. Ocean granatowy, wzburzony, miotający żaglowcem, na pokładzie którego na pewno są ludzie, ale ich nie widać, tylko żagle wydęte wiatrem. Purpurowe słońce zanurza się w odmętach. Wschody słońca wynurzające się z bezmiaru wód. Dlaczego ocean, morze? Nieliczne obrazy, gdzie z wody sterczą skały (taka namiastka stałego lądu), a na tle nieba

fruują wielkie morskie ptaki. Są dwa obrazy przedstawiające cesarskie pin-gwiny, stojące tyłem do oceanu. Majestatyczne, spokojne w czerni, bieli i czerwieni. Czekają.

Pan Mirek prowadzi mnie do pracowni na piętrze. Na klatce schodowej namalowana gałąź jabłoni w pełnym wiosennym rozkwicie. Na wprost - obraz z bukietem białych kwiatów. Tu maluje, oprawia obrazy. I tu jest ich wiele. Na półce - albumy.

- Dlaczego morze? Jego potęgą i nieobliczalnością mnie pociąga. Zmienność i bezwzględność. W jednej chwili spokojne i gładkie, może nagle, w ciągu godziny, zmienić się w potwora. Od wieków człowiek próbuje je ujarzmić, pokonać. Ale mu się to nie udaje. Wyruszając na morze zawsze istnieje ryzyko, że się nie wróci. Ocean uczy człowieka pokory. Tu człowiek nie może być bezwzględny władca. Nawet chodząc musi się od nowa nauczyć. Wie pani - w rytm fal. Dlatego marynarz idąc, kołysze się... Bezkresnej wodzie, jej zmienności poświęciłem mnóstwo obrazów, ale nadal czuję niedosyt... Czuję, że to nie wszystko..., że jeszcze nie oddałem ducha tej potęgi i kruchości człowieka. Jasne, że człowiek może zanieczyścić, wyłowić ryby, ale nie zmusi oceanu do posłuszeństwa. Woda sprawia, że człowiek czuje się wolny. Nie ma granic, płotów, miedzy, ścian...

Czasami tęsknię za bezmiarem oceanu. Ale zostaje mi tylko wędkowanie w morzu. Innego nie uznaję... Praca na morzu jest ciężka. Ale widoki wschodów i zachodów słońca, płynących chmur wynagradzają te trudy. Przeżył sztorm daję satysfakcję, bo jest nie do opowiedzenia.

Podstaw szkicowania, malowania, przygotowywania płócien nauczył mnie Fraś, praca na statku wzbudziła fascynację morzem, a wzorem dla moich obrazów stał się rosyjski malarz Iwan Ajwasowski. Żył w latach 1817 - 1900. Tworzył w Odessie. Malował morze, bitwy morskie, tonące statki. Jego obrazy wciąż grozą ludzkiej bezradności wobec morskich żywiołów. Namalował największy obraz o tematyce morskiej, o szerokości ośmiu metrów. Wyobraża sobie to pani?..

Oglądałem album. Widać, że był przeglądany wielokrotnie, bo bardzo jest sfatygowany. Rozglądam się po

pracowni. Na regale stoją wyplecione z sizalowego sznurka różne figurki - fachowo nazywają się papudraki - marynarzy, rybaków, robotników, chłopów, Murzynów, a nawet profesora w wielkich okularach na nosie z książką na pulpicie. W butelkach zamknięte statki i żaglowce. O regał oparty obraz z bardzo nieporadnym zającem, królikiem? Mirek, dostrzegłszy moje spojrzenie na to dzieło, podnosi je i z dumą mówi, że to jego wnuczka próbuje swoich sił. Dokończy jak przyjedzie.

- Pytają mnie, dlaczego nie maluję postaci. Za pierwszą postać dostałem dwójcę i uwagę. Drugi portret namalowałem mojej, jeszcze wtedy przyszłej żonie. Namalowałem ją jak wylania się z morza. Kiedy jej go pokazałem, stwierdziła, że nie jest syreną, ale prawdziwą kobietą i pocięła go. Teraz ludzkie postaci plotę ze sznurka. Nie jest to łatwe, ale lubię to robić. Zbieram różne patyczki, sznureczki i swoim postaciom dorabiam akcesoria - noże, kosy, wędkę, wiosła... Jak widać. Praca nad taką figurką to prawie tydzień ślęczenia...

Wróciłem do kraju z dość dużą kwotą, którą zaoszczędziłem. Kupiłem samochód i stanąłem na postoju. Kupiłem ten domek, wyremontowałem go, zrobiłem sobie taką przystań. Maluję ukochany ocean ze zdjęć, których zgromadziłem tysiące. I ze wspomnień, które nagle pojawiają się we snach. Próbuję sprzedawać obrazy, ale nie ma zbyt wielu chętnych. Jeszcze figurki ktoś kupi. Wystawiam obrazy i figurki na różnych festynach, podczas uroczystości, na przykład w Karzniczce na Pokopkach. Starostwo Powiatowe zorganizowało wystawę moich dzieł. W Damnicy też miałem wystawę. Nadal jeżdżę na plenery. Najbardziej lubię te w Smołdzinie. Spotykają się tam twórcy - pasjonaci. Można porozmawiać o sztuce, podzielić się informacjami. Bo ludzie nie interesują się sztuką. Nie kupują obrazów. A szkoda.

Moje marzenia? Chciałbym jeszcze wybudować wielki dom gdzieś na Kaszubach, nad jeziorem. I przeznaczyć go dla artystów. Żeby przyjeżdżali, malowali i wypoczywali. I chciałbym jeszcze namalować obraz większy niż namalował Ajwasowski. I ten obraz byłby na stałe w tym domu, który można by przekształcić w muzeum twórców ludowych. Ale teraz niewiele robię, bo bołą mnie ręce. Czekam na umówioną wizytę u lekarza. Na to, co powie, Wrócę na pewno do plecenią figurek i malowania.

Teresa Nowak, Łupawa

Dorota Staszewska mieszka ostatnio w Słupsku, ale pochodzi z małej kaszubskiej wsi Niezabyszewo na bytowszczyźnie. Ukończyła Technikum Ekonomiczne w Szczecinku, a następnie studia ekonomiczne na Politechnice Szczecińskiej. Jest również absolwentką Studium Doskonalenia Pedagogicznego na Politechnice Szczecińskiej. Ukończyła także studia podyplomowe z pedagogiki wczesnoszkolnej z przedszkolną na Uniwersytecie Szczecińskim. W latach 2006 - 2016 była liderką kapeli „Kacper i Lenka” w Niezabyszewie. Z kapelą brała udział w przeglądach twórczości kaszubskiej dzieci i młodzieży, zajmując na nich na ogół pierwsze miejsca. Z zespołem występowała też m.in. podczas inauguracji polskiej prezydencji w Unii Europejskiej w Sopocie i Gdańsku. Brała udział w dorocznych przeglądach zespołów kołędniczych w Tuchomiu, zdobywając też na ogół pierwsze miejsca. Występowała na spotkaniu artystycznym w ramach realizowanego przez Fundację Partnerstwo Dorzecze Słupi projektu pod nazwą „Barwy kultur”, na przeglądach Jarmarku Kaszubskiego w Kartuzach, Zjeździe Kaszubów w Gdańsku, na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Charzykowach i wielu innych festiwalach, współpracując m.in. z Kaszubskim Zespołem Pieśni i Tańca Bytów.

Bardzo dużo ma D. Staszewska występów z zespołem, któremu liderowała i z innymi zespołami - także na festynach i jarmarkach kaszubskich, dniach miast i gmin, innych imprezach okolicznościowych.

W 2016 roku zamieszkała w Słupsku i związała się z Uniwersytetem III Wieku, gdzie poza pasją muzyczną (gra na akordeonie), zaczęła realizować również swoje inne pasje; aktorstwo i malarstwo. To ostatnie, w sekcji malarskiej pod opieką artysty plastyka Andrzeja Szczepłockiego oraz w Klubie Plastyka im. Stefana Morawskiego, działającym przy Słupskim Ośrodku Kultury. Uczestniczyła już w trzech organizowanych przez ten klub międzynarodowych plenerach malarskich i wystawach poplenerowych. Brała udział też w IX, X i XI Konkursie Plastycznym Niekontrolowany Obszar Wrażliwości Artystycznej. W ubiegłym roku otrzymała w nim Nagrodę Prezesa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Słupsku, dr. Antoniego Szredera.

W 2018 roku D. Staszewska wzięła udział w Konkursie Sztuki i Rękodzieła Artystycznego organizowanym przez Muzeum Pomorza Środkowego



Na czym wzrok się zatrzymał?

Interesującą wystawę obrazów Doroty Staszewskiej można było oglądać przez kilka tygodni w siedzibie Starostwa Powiatowego przy ulicy Szarych Szeregów 14 w Słupsku. Autorka od trzech lat należy do Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku i z ogromną pasją oddaje się nie tylko swojemu malarskiemu talentowi.

w Słupsku. Jej prace malarskie były już wystawione w Kaplicy św. Jerzego w Słupsku, Herbaciarni w Spichlerzu, na Akademii Pomorskiej.

Od 2017 roku jest członkiem Słupskiej Kapeli Kaszubskiej „Zgoda”, w której gra na akordeonie razem z dwiema innymi akordeonistkami. Gra w nim też - w zależności od potrzeb - na diabelskich skrzypcach i występuje jako wokalistka. Na III Festiwalu Zespołów Folklorystycznych „Ziemia Słupska” Kapela „Zgoda” z jej udziałem, wyśpiewała w kategorii zespołów grających i śpiewających pierwszą nagrodę, co należy uznać za spory sukces.

Kiedy obserwuje się występ Doroty Staszewskiej, jak gra na akordeonie, śpiewa, to można odnieść wrażenie, że nie ma dla niej ważniejszego zajęcia niż muzyka. Widać w jej grze i występach ogromną radość z posługiwania się instrumentem i duży kunszt artystyczny. Gra jak nie przymierzając zawodowy artysta.

Wystawę swoich obrazów w słupskim starostwie zatytułowała „Na czym wzrok się zatrzymał”. To na czym zatrzymał się wzrok artystki? Na interesujących tematach wziętych z życia miasta. Jak należy sądzić - Słupska, który jest jej teraz najbliższy lub bardzo bliski. Można było zobaczyć tramwaj w „niezwykłym miejskim tunelu”, interesujące portrety: aktora Jana Kobuszewskiego, anonimowej kobiety, mężczyzny siedzącego na ławce przy ulicznym zegarze. Co jeszcze? Miejskie pejzaże, zabytkową architekturę, obrazy z życia przyrody i... malarskie abstrakcje.

- Bardzo ciekawe malarstwo (!), kim jest jego autorka? - przyszedł z pytaniem jeden z urzędników zachwycony tym, co zobaczył na sztalugach. Kiedy odpowiedziałem, że autorką obrazów jest amatorka, w zasadzie bardziej znana z pięknego grania na akordeonie niż z malarstwa, wyraził spore zdziwienie. - To bardzo ciekawe malarstwo - jeszcze raz skwitował.

Jerzy Juchniewicz, Słupsk

Dag Hammarskjöld

Z „Vägmärken”: „Szacunek dla słowa jest pierwszym wymogiem dyscypliny zdolnej wychować człowieka dojrzałego intelektualnie, emocjonalnie i moralnie. Szacunek dla słowa - używanie go z najwyższą starannością i miłością prawdy - jest warunkiem rozwoju społeczeństwa i rodziny.”

*Było tak
Coś mnie gna
w głąb nieznanego kraju
dalej i dalej.
Grunt coraz twardszy,
powietrze rześkie i coraz chłodniejsze.*

*Struny
trącane wiatrem
od mego nieznanego celu drżą*

w oczekiwaniu.

*Nie przestaję wciąż pytać:
czy dojdę tam,
gdzie życie przebrzmiewa -
jak czysty i prosty ton - w milczeniu.*

*Uśmiechnięty, szczery, nieprzekupny -
ciało opanowane i wolne.
Człowiek
który się stał, czym się stać mógł
i był tym, czym był -
zawsze gotowy
zebrać wszystko
w prostą ofiarę.*

*Jutro się spotkamy,
śmierć i ja...
Ona - wbije swój miecz w człowieka
zbudzonego.*

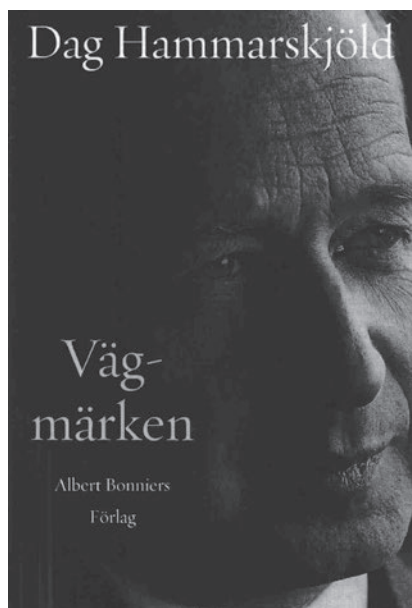
*Jakże jednak pali
wspomnienie każdej chwili
zmarnowanej.*

*(Dag Hammarskjöld,
tłumaczył ks. Jan Zieja.)*

W 1610 roku niebogaty szwedzki chłop Peder Mikaelsson z Smålandii otrzymał za zasługi wojskowe tytuł szlachecki z nazwiskiem Hammarskjöld. Zmarł w zamku Kalmar w roku 1646. Z jego rodu wyszło wielu wybitnych dostojników państwowych i profesorów. Z tego rodu, z ojca Knuta Hjalmara Leonarda Hammarskjölda (w czasach jego młodości rodzina utraciła majątek), świetnie wykształconego, członka Akademii Szwedzkiej, współpracownika Komitetu Nagrody Nobla, eksperta w dziedzinie liryki portugalskiej, oraz Agnes z domu Almquist - 29 lipca 1905 roku w

Nic nie dzieje się przypadkiem

Co łączy historię ks. Ziei z zapiskami Daga Hammarskjölda? Kiedy starszy już kapłan dowiedział się o śmiertelnym wypadku sekretarza generalnego ONZ i odnalezionych zapiskach, które czytać zaczął przypadkiem w wersji angielskiej, zapragnął dotrzeć do szwedzkiego oryginału.



Jönköping nad jeziorem Wetter urodził się Dag Hjalmar Agne Karl jako czwarty, najmłodszy z czterech synów. Wychowany przez ojca „twardego luteranina” Dag Hammarskjöld poszukiwał własnej drogi wśród rozlicznych zainteresowań - przyrodniczych, filozoficznych, literackich, ekonomicznych i społecznych. I tak po studiach w Uppsali w roku 1930 został „kandydatem prawa”. Sięgał do ideałów Karola Linneusza, (Carl von Linné, 1707 - 1778) - szwedzkiego przyrodnika i lekarza, profesora Uniwersytetu w Uppsali. Studia uniwersyteckie skończył w 1933 roku, po czym pracował jako wykładowca na uniwersytecie w Sztokholmie i w szwedzkich instytucjach państwowych. Jego kariera państwowa rozwijała się równolegle z pasją poznawczą: czytał poetów, filozofów dawnych i współczesnych, m.in. M. Bubera, współczesnego mu filozofa żydowskiego, autora „Ich und Du”, który był dla niego wzorem intelektualnym.

W tym czasie „w Organizacji Narodów Zjednoczonych zawakowało

stanowisko sekretarza generalnego. Gdy w rozmowie towarzyskiej jeden z przyjaciół Daga Hammarskjölda wspominał, że on Dag, bardzo by się na to stanowisko nadawał, ten natychmiast odparł żartobliwie: „Nie było takiego wariata, który by mi to zaproponował; i ja nie jestem wariatem, żeby to stanowisko przyjąć.” A jednak, gdy go oficjalnie zapytano, wyraził zgodę, tłumacząc się wobec tego samego przyjaciela: „Musieliśmy przyjąć, chociaż to ciężkie. To był mój obowiązek.”

Państwa członkowskie ONZ 31 marca 1953 roku na wniosek Rady Bezpieczeństwa, spośród pięciu kandydatów wybrały Daga Hammarskjölda 57 głosami przy sprzeciwie jednego głosu. Dag Hammarskjöld objął stanowisko w ONZ i zrzekł się wszystkich stanowisk państwowych w Szwecji. Zatrzymał tylko obowiązki wiceprzewodniczącego Szwedzkiego Związku Turystycznego. Pełnił funkcję Sekretarza Generalnego ONZ ponad osiem lat. Kiedy powstawała potrzeba rozwiązania problemów na arenie międzynarodowej, mówiono: „Leave it to Dag” (Niech Dag się tym zajmie). Odegrał ważną rolę w negocjacjach dotyczących odbudowy krajów zniszczonych drugą wojną światową.

„Najgłośniejszym zdarzeniem w siedzibie ONZ w Nowym Jorku w trakcie jego kadencji było słynne przemówienie, w którym podkreślił, że jego zadaniem jest obrona interesów małych państw, a nie mocarstw. Zgromadzenie zgottało mu gorącą owację. Za to Nikita Chruszczow tak się wściekł, że zdjął jeden but i wielokrotnie uderzył nim w stół” - wspomina jego kuzyn, Erik Hammarskjöld (ur. 1954), szwedzki dyplomata, który twierdzi, że „Praca dla Fundacji Daga Hammarskjölda to także sposób na wkład w pracę na rzecz mierzenia się z międzynarodowymi wyzwaniami”.

Dalej wspomina: „Pamiętam też, jak 18 września 1961 roku wraz z bratem i dużą częścią rodziny świętowaliśmy urodziny babci. Nagle zadzwonił telefon. ONZ poinformowało, że samolot z Dagiem Hammarskjöldem na pokładzie zaginął w drodze do Ndoli w dzisiejszej Zambii.”

W hotelu w Leopoldville, gdzie Dag Hammarskjöld spędził ostatnią noc, w

„Znaki drogowe” zostały wydane w 1963 roku i stały się inspiracją do zainteresowania jego życiem, działalnością polityczną poezją i wiarą. „Vägmärken” na język polski przełożył ks. Jan Zieja, tłumacząc tytuł jako „Drogowskazy”. Pierwsze wydanie ukazało się w 1967 roku, wydanie drugie poprawione w Krakowie w 1981 roku.

wszyscy „miejscowi”, bo tak najczęściej o sobie mówili. Różniła ich obrzędowość, ale łączyła bieda. Ksiądz Zieja pod ojcowską niemal opieką biskupa Łozińskiego mógł realizować własną, ewangeliczną wizję kapłaństwa, którą wyraził w odezwie „Do Braci Kapłanów” z radykalnym żądaniem ubóstwa.

Stamtąd moje korzenie po kądzieli. W parafii Lohiszyn urodziła się w 1928 roku moja matka Regina. Po wojnie w 1946 jako młoda mężatka, repatriantka kresowa wraz z mężem zamieszkała w Objeździe w parafii Wytowno. W tym samym roku 3 kwietnia parafię w Wytowni objął ks. Jan Zieja. „Był to teren ubogi, jeszcze stosunkowo słabo zasiedlony przez Polaków. Było to znowu jak w przypadku Pińska i Łohiszyna odsunięcie trochę na margines. Był wierny swej misji i oddany swym parafianom. Był czuły na ludzkie sprawy” - pisze Zdzisław Machura w książce „Cztery słupskie lata. Opowieść o pracy duszpasterskiej ks. Jana Ziei w parafiach na terenie Ziemi Słupskiej w latach 1945 - 1949”, Słupsk, 2002. To były cztery lata, które pozostawiły trwały ślad w pamięci parafian.

Kiedy ks. Zieja zmarł w Warszawie w 1991 roku, Jacek Moskwa, biograf kapłana, odwiedził jego mieszkanie. „Mieszkanie było ascetyczne, tak jak jego lokator. Na ścianie znajdował się wielki stary krucyfiks i jasnogórski wizerunek Matki Boskiej. Stół służący za ołtarz, kilka fotografii, wśród nich duże zdjęcie księdza Jerzego Popiełuszki, zamordowanego rok wcześniej przez bandytów ze Służby Bezpieczeństwa, jak również widok Jerozolimy. Dwie półki z książkami: były tam rozmaite wydania Pisma Świętego, a także słowniki - hebrajskie, szwedzkie, włoskie i inne. Kilka wydań dzieł Daga Hammarskjölda. W kącie zwinięty na drzewcu - biało-czerwony sztandar. Z czasem dowiedziałem się, że wyhaftowano na nim napis: „Nie zabijaj nigdy nikogo”.

Co łączy historię ks. Ziei z zapiskami Daga Hammarskjölda? Kiedy starszy już kapłan dowiedział się o śmiertelnym wypadku sekretarza generalnego ONZ i odnalezionych zapiskach, które czytać zaczął przypadkiem w wersji angielskiej, zapragnął dotrzeć do szwedzkiego oryginału. W końcu go otrzymał, zwrócił się do profesjonalnego tłumacza z prośbą o przekład. Ten odmówił, zatem ks. Zieja postanowił tłumaczyć sam. Uczył się szwedzkiego, obłożył się słownikami i... przetłumaczył „Drogowskazy”. Uznał „Vägmärken” za ważne,

kieszeni pozostawionej tam marynarki znaleziono książeczkę Thomasa á Kempis (XIV/XV wiek) niemieckiego zakonnika, teologa i mistyka „O naśladowaniu Chrystusa”. Wewnątrz była karteczka z tekstem przysięgi, którą D. Hammarskjöld złożył obejmując urząd Sekretarza Generalnego.

W tym samym roku 1961 parlament norweski pośmiertnie uhonorował Daga Hammarskjölda pokojową nagrodą Nobla, ex aequo z Albertem Luthuli (południowoafrykański działacz społeczny i polityczny, przewodniczący Afrykańskiego Kongresu Narodowego).

W nowojorskim mieszkaniu dyplomaty znaleziono rękopis „Vägmärken”, pamiętnik wraz z listem do przyjaciela Leifa Belfrage’a, który kończył się prośbą: „Jeżeli uznasz, że (zapiski) zasługują na ogłoszenie drukiem, masz prawo to uczynić: niech to będzie coś w rodzaju „białej księgi”, dotyczącej moich rozmów z samym sobą - i z Bogiem. Dag”

Katastrofa lotnicza, w której zginął Dag Hammarskjöld wciąż pozostaje nie do końca wyjaśniona. Jeszcze w 2017 roku pojawiły się wątpliwości, czy wszystkie okoliczności zaginięcia samolotu zostały należycie zbadane.

Ks. Jan Zieja

Jan Zieja urodził się 1 marca 1897 roku w Kolonii Ossa w gminie Odrzywół, zmarł w Warszawie 19 października 1991 roku. Tak urzędowo wyznacza się czas każdemu z nas - bez naszego wpływu - przypisany odgórnie - między dwiema datami. Wypełniamy go osobistymi wyborami, jeśli uznać, że wybór tylko do nas należy.

Życie ks. Jana Ziei opisane, opowiedziane, nawet ostatnio sfilmowane (premiera filmu Roberta Glińskiego „Zieja” - 13 marca 2020 r.), staje się własnością wszystkich. Gdzieś krzyżują się drogi i losy, by ostatecznie spotkać się u celu.

„Pragnąłem żyć ubogo i pracować wśród najuboższych...” Ideał ubogiego życia realizował w diecezji pińskiej, u księdza biskupa Zygmunta Łozińskiego, dziś sługi Bożego. Biskup Zygmunt Łoziński, niedawny więzień carski i bolszewicki swój pierwszy list pasterski ogłosił po polsku i białorusku. Do Żydów zwracał się w ich języku.

Kresy. Rok 1929. Parafia Łohiszyn koło Pińska, licząca trzy tysiące dusz. Najuboższa w diecezji. Wokół bagna, piachy i zalesione pagórki. Mieszkańcy tej ziemi to katolicy, prawosławni, Żydzi,

tak ważne, by dla dotarcia do ich treści nauczyć się języka szwedzkiego.

Dagmara

Jest wnuczką, wciąż o Niej myślę „jest”, choć minął miesiąc od Jej pogrzebu. Miała tylko 35 lat. Mieszkała w Objeździe, tu chodziła do szkoły, w Objeździe została pochowana. Była wnuczką Reginy, dostała w posagu ów niezwykle kresowy gen umiłowania prostoty, ale również ten, który na ziemi słupskiej odcisnął ks. Zieja - pokory i pomocy najsłabszym.

Po studiach polonistycznych w Słupsku w 2008 roku wyjechała do Szwecji. „W ciągu roku po intensywnym kursie Svenska för pedagoger zdała egzamin i rozpoczęła pracę jako modersmålslärare i studiehandledare najpierw w Botkyrka, następnie w Sollentuna, a potem w Nacka. Od 2011 roku miała legitymację nauczycielską (behörighet och legitimation). Od początku pracowała również w Polskiej Szkole przy Ambasadzie RP w Sztokholmie jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum, a od września 2019 roku jako nauczyciel języka polskiego w liceum ogólnokształcącym; przez półtora roku pełniła również funkcję sekretarza szkoły” - napisała we wspomnieniu Joanna Ziemińska-Kurek ze Polskiej Szkoły im. Katarzyny Jagiellonki przy Ambasadzie RP w Sztokholmie.

Kiedy już zapłonęły znicze, odeszli żałobnicy, K. R., który był z Dagmarą, i do końca nie tracił nadziei, opowiedział o sobie: „Jest na świecie taki rodzaj smutku, którego nie można wyrazić łzami. Nie można go nikomu wytłumaczyć. Nie mogąc przybrać żadnego kształtu, osiada ciasno na dnie serca jak śnieg podczas bezwietrznej nocy” - Haruki Murakami.

Zakończenie

Niczego nie trzeba udowadniać. Po prostu, przedstawiłam trzy osoby, których drogi w jakiś sposób się przecięły.

„Oto droga - masz nią iść.

Szczęście - masz o nim zapomnieć.

Kielich - masz go do dna wychylić.

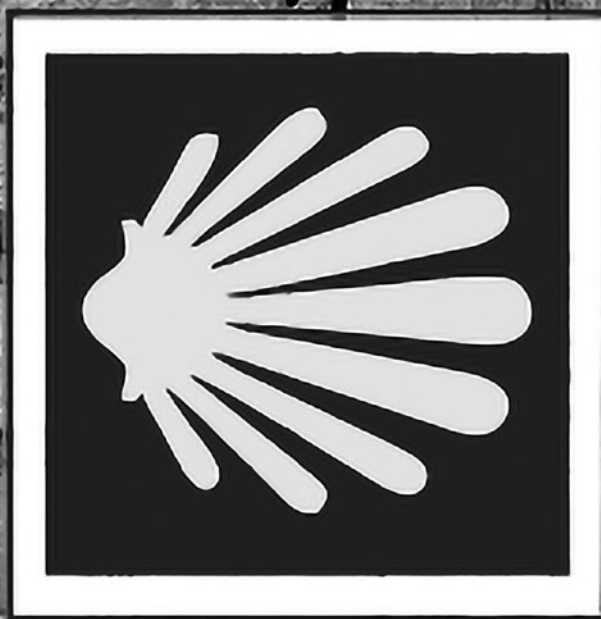
Ból - masz go ukryć.

Odpowiedź - masz się jej nauczyć.

Koniec - masz go udźwignąć”

*(Dag Hammarskjöld,
tłumaczył ks. Jan Zieja)*

Czesława Długoszek, Objazda



Świat stał się mniejszy...

Przyszła do mojego domu w październikowe popołudnie słupskim odcinkiem Pomorskiej Drogi Jakubowej ze Smołdzina do Rowów. Gabriela, bo o niej będzie ta historia.

W poszukiwaniu przegrzebka

Szli tą drogą pielgrzymi z całej Europy od IX wieku, na koniec świata, gdzie Finisterra, średniowieczny wędrowiec peregrynował drogą uczniów św. Jakuba, którzy poszukiwali legata rzymskiego, by otrzymać zgodę na pochowanie apostoła Jakuba w Compostela. Innych gnęła ciekawość, jaki jest kraniec Ziemi. Jeszcze inni przejście kolejnych dziewięćdziesięciu kilometrów traktowali jako dopełnienie pielgrzymki do grobu św. Jakuba. Na skalistym wybrzeżu palili brudne, zszargane podróżą ubrania, kąpali się w oceanie, by oczyścić nie tylko duszę, ale i ciało, wreszcie zabierali muszlę na dowód, że „byli i widzieli”.

Pierwsze wzmianki o pielgrzymach z terenów dzisiejszej Polski pochodzą z

XI wieku. Współczesna Pomorska Droga św. Jakuba wpisuje się w stary trakt z rejonu wschodniej części Litwy, z Kretyngi, wiedzie przez Rosję (obwód kaliningradzki), Polskę, Niemcy i dalej aż do głównych szlaków prowadzących do Hiszpanii - łącznie - 1142 kilometry. Polski odcinek Pomorskiej Drogi liczy ok. 720 km: z Braniewa do Szczecina oraz przez Świnoujście i dalej do Rostoku. Trasa na Pomorzu podzielona jest na siedem części obejmujących dwadzieścia dziewięć odcinków. Drogę znaczy siedem kościołów, którym patronuje św. Jakub, patron pielgrzymów: Tolkmicko, Tuja, Niedźwiedzica, Gdańsk, Lębork Łeba, Szczecin.

Polskie camino jest mało wydeptane i... dzikie. Dzięki temu łatwiej jest się wyciszyć i sprawić, by droga stała się modlitwą. Bo przecież właśnie to

powinno być jej celem. Taką drogę do przeszłości wybrała Gabi. Nie znam nikogo poza nią, kto z determinacją wchodzi na drogę pielgrzymki w przekonaniu o łasce Bożej pozwalającej połączyć wędrówką to, co przekreśliła historia, odbudować utracone więzi rodzinne i ludzkie, wrócić na szlak dawnych wartości. Przyszła do mojego domu w październikowe popołudnie słupskim odcinkiem Pomorskiej Drogi Jakubowej ze Smoldzina do Rowów.

Zamysł powzięła wcześniej, ale na pierwszy plan wysuwała się pielgrzymka Via Francigena, czyli Drogą Franków do Rzymu. Następnie w 2019 trasą via Domitia z Turynu do zielonej Prowansji i od Albufeira do Notre Dame des Lumières w Goulte. Na pątniczym szlaku Gabrieli była też Fatima w 100-lecie Objawień. W tym czasie zmarła jej matka. Kiedy jeszcze żyła, Gabriela planowała odbyć podróż drogą jej ucieczki w 1945 roku, co byłoby, jej zdaniem, równe modlitwie. W przewodniku z Forum Pielgrzyma, odkryła, że zaledwie trzy kilometry od Wobesde, czyli Objazdy, miejsca urodzenia jej matki, prowadzi Pomorska Droga św. Jakuba. Mimo to najpierw w 2018 roku w dniu Pięćdziesiątnicy wyruszyła ze Szczecina drogą Via Imperia i w trzy dni dotarła do Angermünde, a do końca roku przemierzyła resztę trasy - do Berlina; ostatni kawałek od Melchowa do Bernau (w Brandenburgii) z Christine Thürmer, która pisze o sobie na blogu: „Jestem w drodze od prawie 10 lat: 47 000 km pieszo, 30 000 km rowerem i 6 500 km łodzią. Śpię więcej w namiocie niż pod dachem.”

Gabriela mówi o sobie: „Mogę z łatwością zaakceptować, dlaczego w ostatnich dwunastu latach miałam tak mało pieniędzy. Zastanawiałam się, czy to kara, czy robię coś złego. Nie! Widzę to dzisiaj jako akt miłosierdzia. Brak pieniędzy spowodował, że nauczyłam się żyć w przyjaźni do natury, nie cierpiąc ani nie tracąc niczego.”

W marcu 2019 roku zmarła starsza siostra matki Gabrieli. Nadszedł czas pielgrzymowania do ojczyzny dzieciństwa i młodości dwóch sióstr - matki i jej siostry - do dawnej Wobesde, dziś Objazdy. Latem Gabi czytała rodzinną historię tamtych czasów w Wobesde napisaną przez najmłodszą z sióstr. Spod jej pióra pochodzą historie z przeszłości. Trudne historie rodzinnych losów.

Wyruszyła w drogę na Pomorze 3 października, w dniu zjednoczenia Niemiec. W Berlinie na dworcu

Gesundbrunnen na pociąg do Szczecina czekał ogromny tłum z dużą ilością bagażu. Gdy pociąg wjechał, tłum wepchnął ją do pociągu. Pociąg opóźniał się, a ona miała wykupiony przez internet bilet ze Szczecina do Słupska, z czasem 50 minut na przesiadkę. W zatłoczonym pociągu działały się niemiłe sceny. Czas gwałtownie się kurczył. Gdy wreszcie z opóźnieniem dotarła do Szczecina, jej pociąg do Słupska odjechał. Musiała kupić nowy bilet. Pomyślała o podróży, jaką przebyła jej matka z dziećmi w styczniu 1945 roku...

Następny pociąg do Słupska odjechał o 14-ej. Miała czas, by wstąpić do bazyliki archikatedralnej świętego Jakuba Apostoła. Była przekonana, że to sprawa jej niebiańskiego przewodnika, Anioła Stróża. W Kaplicy św. Maksymiliana Kolbego zobaczyła ścianę z nazwami niemieckich obozów koncentracyjnych. Kaplicę od nawy oddziela krata podobna z wyglądu do ogrodzeń z drutu kolczastego w hitlerowskich obozach zagłady... Po chwili słucha Mszy Św. i Ewangelii: - „Jezus wyznaczył jeszcze innych siedemdziesięciu dwu uczniów i wysłał ich po dwóch przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyjdzie zamierzał.”

Sama czuła się naprawdę wysłana. Myślała o rozbiciu rodziny przedzielną niegdyś murem, którego już fizycznie nie ma, ale tak naprawdę nie upadł w jej rodzinie. Rodzinna jedność była najsilniejsza w sercu zmarłej siostry jej matki. Pamięta, jak 9 listopada 1989 roku, kiedy spotkali się po otwarciu muru w ich domu na 100. urodzinach babci i 70. cioci, która była linkiem, skarbnicą rodzinnej wiedzy.

Gabi, zajęta swoimi sprawami, nie zajmowała się rodziną. Wiedziała, że istnieją. To wszystko. Podczas marcowego pogrzebu zrozumiała, że teraz jest kolej jej generacji, jeśli rodzina ma pozostać w kontakcie. Ta jej podróż po to jest właśnie, by wrócić do miejsca, skąd wyszli.

Ucieczka

W styczniu 1945 roku właścicielka majątku Wobesde pani Käthe Kucher dowiedziała się od swoich synów o prawdziwej sytuacji na froncie wschodnim. Radziła rodzinom pracowników uciekać. By ominąć zakaz opuszczania miejsca zamieszkania, wydawała pozwolenia na wyjazd na urlop - powód - pilne i ważne sprawy rodzinne. Wyjechała również rodzina mistrza z destylarni majątku. Kierownik nie mógł

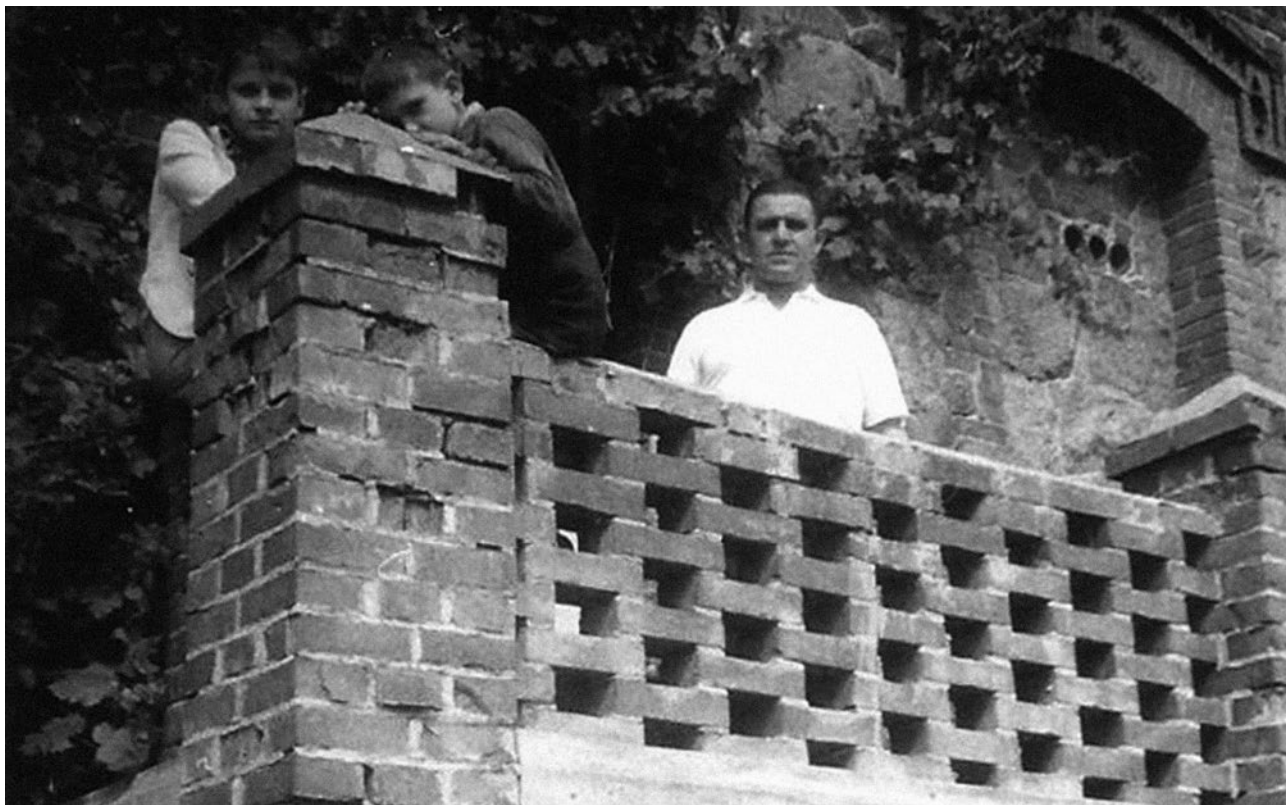
opuścić stanowiska pracy i miejsca zamieszkania. Musiał pozostać do końca. Matka wraz z córkami spakowały bagaż „na wakacje”. Wsiadły do wagonu wąskotorowej kolejki, która kursowała na Pomorzu Słupskim od 1913 roku. Dotarli do Stolp (Słupska). Kolej podporządkowana została potrzebom wojska, dlatego nie było regularnych połączeń. Na dworcu w punkcie Czerwonego Krzyża powiedziano, że cywilny pociąg do Szczecina, jedyny, który tego dnia odjedzie, składa się na bocznym torze.

W styczniowy dzień 1945 roku rodzina z Wobesde dostała się do przepełnionego pociągu, który odjechał dopiero późnym wieczorem i zatrzymywał się bez powodu w przypadkowych miejscach. Krążyły plotki, że trumna byłego kanclerza von Hindenburga jedzie do Szczecina ostatnim, szczególnie strzeżonym wagonem. Na wiadukcie przed Szczecinem usłyszeli syreny alarmu przeciwlotniczego. Podróżnych ogarnęła panika. Wielu z nich nigdy nie zapomniało tej podróży.

W Fürstenbergu pasażerów poproszono o opuszczenie pociągu. Berlin był zamknięty. Czerwony Krzyż przekazał uchodźcom karty żywnościowe i adresy lokalnych rodzin. Jechać do Berlina nie było sensu, nie było tam bezpiecznie i nie było gdzie się zatrzymać.

Zostać w Fürstenbergu? Dokąd iść, gdy wszyscy uciekają? Każdego ranka przez zamknięty i strzeżony przez mundurowych z ostrymi psami teren stacji przejeżdżał pociąg wypełniony upiornymi ludzkimi postaciami. Wraczał wieczorem. Tylko nieliczni wiedzieli, że pasażerowie to kobiety - więźniarki z Ravensbrück. „Lepiej nie zwracaj uwagi i nie rozmawiaj o tym! - ostrzegali się nawzajem. Dopiero po wojnie dowiedzieli się o obozie koncentracyjnym w Ravensbrück, w którym pod koniec stycznia 1945 roku w strasznych warunkach przebywało około 50 tysięcy kobiet.

Mieszkańcy Fürstenbergu i uchodźcy opuszczali miasteczko. Kierowca autobusu zmierzający do Holandii zabrał kilka osób, w tym matkę z dziećmi, miał w tym interes: transport matki z dziećmi mógł być alibi podczas kontroli drogowych. Podróż trwała kilka dni. Raz za razem autobus był zatrzymywany z powodu ruchów wojsk, ostrzeliwania z nisko latających samolotów i wszechobecnej kontroli. Jedzenie się skończyło, nie mieli marek, by cokolwiek kupić. Kierowca wysadził pasażerów w



Sondershausen w Turyngii, ponieważ chciał jak najszybciej dojechać do bezpieczniejszej Holandii.

Część osób trafiła do obozu dla uchodźców. Dopiero stamtąd przesiedlano je do okolicznych wiosek. Rodzina z Wobesde nie doczekała się ojca. Zmarł w obozie w Smoleńsku.

„Praca przymusowa Niemców w Związku Radzieckim była częścią reparacji wojennych, jakich Związek Radziecki domagał się ze strony III Rzeszy po zakończeniu II wojny światowej. na konferencji jałtańskiej, gdzie ustalono trzy formy odszkodowań dla ZSRR: z jednorazowej konfiskaty części niemieckiego majątku narodowego, rocznych dostaw towarów z produkcji bieżącej oraz pracy niemieckich jeńców. Z terenów byłej III Rzeszy przyłączonych w 1945 roku do Polski Ludowej wywieziono ok. 218 tys. osób pochodzenia niemieckiego. Jeńców tych stopniowo zwalniano, pierwszych jeszcze w 1945 roku, ostatnich oficjalnie w 1948, choć zdarzały się przypadki późniejszych powrotów z zesłania. Około połowy przymusowych pracowników straciło życie w radzieckiej niewoli” - podaje Wikipedia.

Karl Heinz Pagel podaje za Heimatskartei Pommern, że 274 mieszkańców Wobesde osiedliło się w Republice Federalnej Niemiec, a 224 w NRD. Wojna i jej polityczne konsekwencje podzieliły rodziny, tak jak podzielone zostały Niemcy na dwie strefy wpływów.

Jeszcze o tym nie wiedzieli

Władysława Jarnecka z Piotrkowa Trybunalskiego na roboty przymusowe do Seddin - Jeseritz bei Stolp, czyli znanych nam Jezierzyc, została przywieziona z łapanki w 1941 roku. W międzywojniu przez bazę w Jezierzycach-Żydzinie przewinęło się łącznie dziewięć sterowców produkcji firmy von Zeppelin i firmy Schytte-Lanz. W czasie ostatniej wojny uwięzieni w obozie robotnicy zmuszeni byli do pracy na stacji kolejowej przy rozładunkach materiałów budowlanych i amunicji. Do pomocy przydzielano więźniarki z obozu dla kobiet. Nim tam trafiła Władysława, przeżyła długą podróż i pobyt w tzw. okrągłaku w Stolp, co w jej wspomnieniach było koszmarem. Przydzielono ją do pracy przy produkcji balonów. W Jezierzycach poznała Alka Kostkę z Gdyni, który podobnie jak ona przybył tu nie z własnej woli. Pracował jako palacz w gorzelni w oddzielnym obozie w Jeseritz. Mieszkał w baraku, gdzie przebywało trzynastu mężczyzn i dziecięć kobiet, ludzi różnej narodowości, wśród nich przyszła bratowa Władysławy. „Przymusowa” miłość, która zrodziła się w nieludzkich warunkach, dawała nadzieję. Dzięki niej łatwiej było żyć, mimo upokorzeń. Pobrali się potajemnie w czasie przepustki, w Gdyni, dzięki przyjaciółom, którzy pomogli wszystko urządzić. Po wojnie długo szukali miejsca na stałe, po kilku przeprowadzkach zamieszkali w Objeździe.

Pani Ada i jej mąż Alek nie wiedzieli jeszcze, że ich domem będzie mieszkanie w gorzelni w Objeździe.

Ze Smołdzina do Objazdy

Pogrążona myślami w przeszłości podróżniczka opuściła kościół św. Jakuba w Szczecinie. W drodze na dworzec kupiła coś do jedzenia. Po trzech godzinach była w Słupsku. Do odjazdu autobusu do Smołdzina miała trochę czasu. Szybkim krokiem dotarła do centrum miasta, gdzie zaskoczył ją duży napis „Kocham Słupsk”, sfotografowała przegrzebek umieszczony na słupie ulicznej latarni, ratusz i Nową Bramę. Godzinę później przez wioski nad jeziorem Gardno jechała autobusem do Smołdzina, dawnego Schmolsin. Na miejscu zastał ją wieczór, padało, na wejście na Rowokół było za późno.

W Smołdzinie, gdzie rozpoczyna się jeden z odcinków Słupskiej Camino, bez trudu znalazła niedrogi nocleg. Miejscowość jest siedzibą gminy i dyrekcji Słowińskiego Parku Narodowego. Te ostatni obejmuje około 20 tys. ha wybrzeża Morza Bałtyckiego między Łebą a Rowami z atrakcyjnymi trasami turystycznymi.

Na drzewie przed smołdzińskim kościołem znajduje się przegrzebek, stąd rozpocznie wędrówkę Drogą św. Jakuba. Przekraczając Łupawę, w deszczu, polnymi ścieżkami kieruje się do jeziora Gardno. Najpierw jezioro widzi przed sobą, potem ścieżka biegnie

równoległe do brzegu, pośród porośniętego trziną mokradła. Ogląda ślady zwierząt, pewnie są tu wilki!

Powietrze pachnie jesienią, wzrok przyciągają rosnące pod krzakami czerwone muchomory. Słyszysz dzikie gęsi płynące porankiem po niebie. Naturalny spektakl Natury, znak zmiany pór roku wprawia ją w nostalgiczny nastrój.

Wchodzi w bukowy las. Liście jeszcze są zielone, mimo że powietrze pachnie jesienią. Na północnym brzegu jeziora Gardno drogę odmierzają stacyjki, miejsca odpoczynku. Trasa jest dobrze oznakowana. Znak wskazuje morze po prawej stronie. Wreszcie! Oto plaża. Wyłącza GPS. Pojawiają się piękne piaszczyste wydmy porośnięte szorstką trawą i jasna piaszczysta plaża. Morze w kolorze ciemno-szaro-zielono-niebieskim z białymi grzbietami pod warstwą ciemnej chmury. Tylko na wschodnim horyzoncie pasek światła. Wspaniały! Do Rowów 2,8 km - informuje znak. Usiadła by nacieszyć się widokiem, uspokoić umysł i serce.

Po obu stronach biała plaża, jak okiem sięgnąć. Na piasku ślady zwierząt, nad wodą, nad plażą rozpięte skrzydła ptaków. Idzie blisko wody, czasami odskakuje na bok, gdy fala podpływa zbyt blisko. Czuje się szczęśliwa. Na, cichej, czystej plaży odciskają się tylko jej stopy. Na wyrzeźbionym wodą korzeniu zdomowały się małe małże. Na grzbietach wydym wiatr pisze swoją historię. Fale zbliżają się do wydmy, zmywają rysunki. Trwa teatr natury. Ta ścieżka jest snem. Morze i przestrzeń - czysta nieskończona - jest znakiem wolności pielgrzyma.

Rowy. Pusto. Sezon dawno minął. Zamknięte pensjonaty i sezonowe sklepiiki. Samotne uliczki w posiadanie objęły koty. Są przed małym sklepikiem, w którym kupiła bułkę, ser i jabłka. Siedząc na ławce w towarzystwie kotów zjadła posiłek.

W drodze do Dębiny spotyka grzybiarzy. Zagląda do koszy, rozdaje zdawkowe grzeczności. Grzyby kuszą urodą, zebrała kilka najdorodniejszych. O drugiej dotarła do Wobesde/Objazdy, gdzie bez trudu znalazła kwaterę zarezerwowaną przez polskiego pastora Krupę z Berlina. Część zebranych grzybów trzeba wyrzucić, sugeruje gospodyni. Z pozostałych przygotowuje posiłek.

Gorzelnia

„Miejsce urodzenia mojej matki, gorzelnia. Mój dziadek, którego nigdy nie spotkałam, był mistrzem destylarni. Zmarł w obozie w Smoleńsku. Ten

pusty arkusz mojego życia wypełnia się tutaj. (...) W rzeczywistości można odbyć pielgrzymkę w przeszłość. Jestem bardzo wzruszona i wdzięczna! Mam gęsią skórę i kołatanie serca!” - napisała na Instagramie.

Od końca XVII wieku w Słupsku i okolicy produkcja gorzałki i piwa wykneła się spod kurateli cechu piwowarów. „W 1794 roku warzeniem piwa lub produkcją gorzałki zajmowało się w Słupsku 52 obywateli, wśród nich tylko 6 należało do cechu piwowarów, natomiast największą grupę (14) stanowili bursztynnicy” - piszą autorzy „Dziejów Słupska”. Gorzelnie rolnicze działały w prawie każdym majątku na

na paszę. W Objeździe firma zajmująca się suszeniem płatków ziemniaczanych należała do wdowy Kutscher. Alkohol produkowany przez gorzelnie wlewano do 200-litrowych beczek w określonych odstępach czasu pod dozorem celnym i wprowadzano do obrotu w celu dalszego przetwarzania.

O dacie powstania gorzelni w Objeździe informuje metalowa zaśniedziała rozeta wklejona w murowany z czerwonej cegły komin - 1869. Od tego czasu nad krajobrazem wsi góruje jej wysoki murowany komin. Na początku XX wieku z myślą o transporcie płodów ziemi, czyli ziemniaków i zboża, a także o transporcie produktu



Fot. Archiwum Autora

Pomorzu, w tym w Wbesde/Objeździe i Schönwalde/ Dębinie, regionie, gdzie uprawa ziemniaków i żyta zajmowała spory areal. Gorzelnie rolnicze przetwarzały ziemniaki i żyto na alkohol wysokiej jakości. Przeciętą gorzelnia rolnicza średniej wielkości była w stanie wyprodukować około 2 mln litrów spirytusu rocznie.

Przedwojenni mistrzowie destylarni zdobywali kwalifikacje w Berlinie lub innych ośrodkach. Obok gorzelni funkcjonowały wytwórnie płatków ziemniaczanych, wykorzystywanych

finalnego gorzelni powstała linia kolejowa z przystankiem Wobesde Gut, czyli Objazda Majątek.

Alkohol stanowił dla majątku ważne źródło dochodu, a w czasie wojen produkcja szła głównie na potrzeby wojska. Kiedy 8 marca od strony Ustki do Objazdy weszli żołnierze radzieccy, gorzelnia była jednym ze strategicznych punktów, które przejęli - pisze Pagel.

Przemarsze wojsk wraz ze sprzętem i działania wojenne same w sobie były przyczyną zniszczeń i dewastacji, a zostały pogłębione późniejszą dewastacyjną

działalnością Armii Czerwonej. W wielu miejscach, szczególnie w okolicach Słupska i Miastka przez kilkanaście miesięcy, a czasami nawet dłużej, duże obszary rolne pozostawały pod zarządem Armii Czerwonej, wyeksploatowane, a w wielu przypadkach po prostu zdewastowane. Zniszczenia dotyczyły gospodarstw - budynków mieszkalnych i gospodarczych oraz zakładów obsługujących rolnictwo, takich jak: mleczarnie, młyny, spichlerze, cukrownie, a szczególnie gorzelnie.

W Objeździe jedynie młynarz Heinrich Damaschke i jego rodzina mogli zostać na miejscu, dzięki temu we młynie w tajemnicy schroniło się kilka-



naście dziewcząt i kobiet, a młyn przetrwał. Natomiast cała produkcja majątku i gorzelnia przejmowana była przez sowieckie wojsko. W nieodległej Debinie działania wojska były przyczyną zniszczenia części destylarni spirytusu i zagród wiejskich.

W tym czasie na potrzeby sowieców rozebrana została funkcjonująca od 1913 roku słupska linia kolejowa przebiegająca przez wsie i gospodarstwa, którym służyła między innymi do transportu produktów rolnych i torfu. W 1945 roku wszystkie trasy

Stolper Kreisbahnen AG zostały rozebrane, a materiał został przetransportowany do ZSRR.

Dawne gorzelnie z potężnymi kominami powracały do życia po 1945 roku w nowo organizowanych majątkach przekształcanych w państwowe gospodarstwa rolne. Formalnie były utworzone w 1949 roku. Główną bazą dla ich tworzenia były dawne prywatne majątki ziemskie. Państwo przejmowało obory, stodoły, garaże, magazyny oraz całe połacie ziemi. Najprościej duże gospodarstwa było tworzyć na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie administracja państwowa przejmowała ziemie majątków opuszczonych przez niemieckich właścicieli.

Gorzelnia w Objeździe funkcjonowała przez wiele powojennych lat, przerabiała nadwyżki ziemniaków i zboża z własnej produkcji gospodarstwa oraz skupowała nadwyżki plonów z okolicznych gospodarstw indywidualnych. Nad halą produkcyjną znajdowało się mieszkanie kierownika, gdzie toczyło się zwykłe rodzinne życie i rodziły się dzieci. Było to wygodne i konieczne, ponieważ gorzelnia pracowała w ruchu ciągłym, 24 godziny na dobę. Trzeba było czuwać nad parowaniem, fermentacją, przygotowaniem drożdży, destylacją i dekantacją. Non stop, także nocą, aż do zakończenia sezonu. Alkohol gromadzono w kadziach plombowanych pod nadzorem administracji celno-skarbowej. Po odpad poprodukcyjny, czyli tak zwany „wywar” - gorący i gęsty - ustawiała się kolejka rolników, którzy odbierali go jako wartościową paszę dla bydła i trzody. Kiedy kończył się sezon i opustoszały kopce i hale z ziemniakami i zbożem, rozpoczynała się konserwacja urządzeń i przygotowanie zakładu do następnego sezonu.

W okresie powojennym gorzelnia w Objeździe kierowało trzech mistrzów. Najdłużej pierwszy mistrz, który szlify zdobywał jako pomocnik i palacz w gorzelni w Seddin Jeseritz, czyli w Jezierzycach - jako robotnik przymusowy podczas wojny. Wiedzę zdobywali z książek i podczas kursów. W Legnicy było technikum gorzelnicze. Znawczy tematu twierdzą, że w Polsce mieliśmy fantastycznych fachowców gorzelnictwa.

Gorzelnia w Objeździe została zamknięta ok. roku 1989 - w czasie likwidacji PGR. W roku 2005 nowy prywatny właściciel rozpoczął częściową rozbiorę i przebudowę obiektu, zaniechaną po krótkim czasie. Budynek niszczał. Podróżniczka poszukująca obrazów

przeszłości notuje obraz: „brakuje sufitów, rośliny rosną między ścianami i kupami gruzu, dziurami w podłogach i ścianach. Mech rośnie na kamieniach. Piwnica z ceglanym stropem jest pełna gruzu i rur. Zielone algi pełzają po ścianach. Po drugiej stronie lokalnej drogi w kamiennym basenie stoi błotnista woda. Na dachu sąsiedniego domu gruchają gołębie, wśród nich śnieżnobiałe, jak gołębie pokoju. Na dobrą wróżbę. Są jednak nowi gospodarze, którzy pokochali ten stary budynek od pierwszego wejrzenia. Chcą go rozbudować, zrobić pensjonat z restauracją. Prace remontowe trwają: wyburzono boczny budynek, na stropie podpiwniczenia powstał taras, w miejscu dawnego okna powstały drzwi na patio. Wewnątrz wyburzone zostały ściany, zmienia się układ pomieszczeń.”

Feliks i Maria

Rozmawiam, posługując się internetowym tłumaczem, o pogmatwanych losach ludzi spowodowanych skutkami światowej wojny z podróżniczką z Berlina, szukającą w Objeździe śladów historii swojej rodziny. Minęło 75 lat, a kolejne pokolenia wciąż niosą jej bagaż. Nie znam rodziny, która wyszła bez strat z wojennej opresji. By to zrozumieć, trzeba dotrzeć do tamtych zdarzeń - w jednostkowych losach.

Feliks Kozub jest jedyną osobą łączącą nasze opowieści, której losy w jakimś stopniu znamy obie. Był w Wobesde, kiedy jej mieszkańcy wierzyli, że führer prowadzi armię niemiecką do zwycięstwa, a naród do dobrobytu.

Feliks Kozub, rocznik 1913, pochodził spod Piotrkowa Trybunalskiego, z Bilskiej Woli. Wojska niemieckie wkroczyły do miasta 5 września 1939 roku. Powiat piotrkowski został podzielony: Bełchatów i 9 gmin wiejskich zostały włączone bezpośrednio do Rzeszy, natomiast Piotrków Trybunalski został poddany jurysdykcji Generalnego Gubernatorstwa. Znanie z historii miasto w czasie wojny światowej było zniszczone i biedne. Wkraczające oddziały niemieckie demolowały sklepy, okradły z cenniejszych przedmiotów. Na porządku dziennym były masowe egzekucje, na co przyzwolenie dał dowódca X Armii generał Walter von Reichenau.

8 października 1939 roku utworzono getto dla ludności żydowskiej, pierwsze w okupowanej Polsce, co było przygotowaniem do tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Codziennością były łapanie, ich największe

nasilenie miało miejsce w latach 1941 i 1942. Złapanych, niewinnych ludzi wywożono do obozów koncentracyjnych, w najlepszym wypadku na roboty przymusowe do Rzeszy.

W 1942 roku w Piotrkowie Trybunalskim w łapance została pojmana Władysława Jarnecka, przewieziona do Stolp (Słupska), następnie skierowana do pracy przymusowej w Seddin Jese-ritz (Jezierzycach Słupskich), po wojnie wraz z mężem zamieszkała w Objazdzie, gdzie jej mąż został kierownikiem gorzelni.

Feliks Kozub w sierpniu 1939 został powołany do wojska, jako kawalerzysta. Kiedy w nocy z 20 na 21 września doszło do zmian w usytuowaniu obronnym wśród polskich sił broniących twierdzy Modlin, do walki wszedł 84. Pułk Piechoty wzmocniony kawalerią dywizyjną rtm. Tadeusza Schollenbergera. Takim sposobem Feliks Kozub wziął udział w obronie twierdzy Modlin. Od 13 września obroną dowodził gen. Wiktor Thommée. W czasie zaciętych walk generał odniósł ciężką ranę. Heroiczna obrona trwała do 29 września. Tego dnia rankiem gen. Wiktor Thommée podpisał kapitulację na szosie do Jabłonny w rejonie Suchocina. Stan załogi Modlina wynosił wówczas ok. 35 tys. żołnierzy, w szpitalach znajdowało się ok. 4 tys. rannych. Wśród wziętych do niewoli był Feliks Kozub. Szeregowych zwolniono, oficerów przewieziono do obozu jenieckiego. Po krótkim czasie ponownie wyłapano jeńców i osadzano w kolejnych obozach. Feliks trafił do obozu w Czarnem, gdzie na terenie bazy wojskowej wybudowano kolejny obóz Stalag Hammerstein NORD. We wrześniu 1939 roku przetrzymywano w nim blisko 9 tysięcy polskich żołnierzy, których zmuszono do zrzeczenia się statusu jeńca wojennego. Kierowano ich do prac rolnych w powiatach pilskim (Schneidemühl) i koszalińskim (Köslin). Oprócz polskich więźniów przebywali tu także obywatele francuscy, belgijscy, holenderscy, angielscy i amerykańscy, łącznie około 20 tys. osób. W Czarnem Feliks poznał Błażeja Łyszcza i dalszą drogę przebyli razem. Ostatecznie obaj trafili do Wobesde, na roboty przymusowe. Dla nich obu i dla pani Władysławy Objazdy stała się miejscem na całe życie.

Feliks trafił do zamożnego bauera w Wobesde. Rolników we wsi było kilku, ale największe gospodarstwa mieli Leo Heidemann - 53 ha i Hermine Kutschke - 30 ha. Dom, do którego

trafił chłopak spod Piotrkowa, był duży, rozłożony na dwie strony, murowany, kryty płaską dachówką z ciętego kamienia. Obok stały wysokie zabudowania gospodarcze z czerwonej cegły cechowane datą 1907. Gospodarstwo wyposażone było w nowoczesne maszyny rolnicze: konną snopowiązałkę, sieczkarnię, śrutownik, młocarnię. Obejście też było obszerne, grodzone kutym pięknym płotem.

Feliks zajmował się głównie końmi. Nie narzekał. Gospodarze byli bezdzietni i dobrze go traktowali, zapraszali do posiłków przy wspólnym stole. W Bilskiej Woli na kilkumorgowym gospodarstwie pozostała rodzina; dziewięcioro rodzeństwa z dwóch ożenków ojca. Kiedy stało się jasne, że Niemcy przegrają wojnę i nastąpi rewizja granic, bauer z Wobesde prorokował, że jego gospodarstwo przejdzie w ręce robotnika przymusowego.

Ale, gdy w marcu 1945 roku zbliżał się front, Feliks Kozub opuścił Wobesde. Najpierw próbował konno, ale żołnierze sowieccy pod Karżcinem zabrali mu konia i musiał zawrócić. Zdecydował się na podróż koleją. Najpierw lokalną linią do Słupska i dalej pojechał pociągiem do Bilskiej Woli. On też wiedział, że zmiany, które zajdą, będą szansą dla przybyszów z terenów, gdzie głód ziemi był powszechny. Po kilku miesiącach wracał do Objazdy, dokąd w krótkim czasie przyjechały jego dwie siostry: Bronia i Irena oraz brat Janek. Na peronie w Łodzi wsiadł do pociągu, by wrócić do Objazdy i podjąć obowiązki.

Z czasu wojennego pobytu w Wobesde znał Marię Juzepczuk, rocznik 1920, z powiatu stanisławowskiego, która jako robotnica przymusowa pracowała jako pomoc domowa u mistrza destylarni. Kiedy w styczniu 1945 roku żona kierownika gorzelni z córkami opuszczała pośpiesznie wieś pod pretekstem wyjazdu w sprawach rodzinnych, Maria musiała zostać - prawa wojny wciąż obowiązywały - a ona była rodzajem alibi dla rodziny. 8 marca 1945 roku do wsi weszło wojsko radzieckie; Maria, mimo znajomości języka rosyjskiego i statusu robotnika przymusowego, niestety bez dokumentów, została deportowana przez rosyjską władzę wojskową. Wracała do domu, chociaż wiedziała, że powrót może być niemożliwy. Dotarła - głodna i wycieńczona - przy pomocy wielu osób, do Łodzi, bez dokumentów i pieniędzy. Na dworcu czekała na możliwość dalszej podróży, i wtedy zdarzył się cud. W

tłumie dostrzegł ją Feliks. Wyskoczył z pociągu, powitał serdecznie. Zostali w Łodzi, by Maria mogła wrócić do zdrowia, i razem wrócili do Objazdy. Osiedli w gospodarstwie, w którym Feliks był robotnikiem przymusowym, początkowo razem z szykującymi się do wyjazdu gospodarzami. Został pierwszym sołtysiem i skrupulatnie prowadził „Księgę sołtysa”, w której dokumentował przyjazdy nowych mieszkańców do Objazdy we współpracy z PUR, wyjeżdżał furmanką do Słupska po nowych przybyszów. Maria, a po latach jej synowie bezskutecznie poszukiwali przez Czerwony Krzyż jej brata, który pozostał w domu, gdy go opuszczała. Jej dzieci nie poznały również dziadka, który pozostał po drugiej stronie granicy. Syn Edward zna go tylko z fotografii przysłanej w latach 60.

Feliks i Maria zamieszkali w domu dawnych „bauerów”, którzy wyjechali w 1947 roku, a do czasu wyjazdu mieszkali na piętrze swego domu. Młoda rodzina zajęła parter, bo rodziły się dzieci. Dawni gospodarze wyjechali w 1947 roku. Dom pozostał w rodzinie Feliksa Kozuba, który pełnił funkcję sołtysa przez wiele lat, ciesząc się zaufaniem wsi, ponieważ rozumiał trud rolników. Rodziły się dzieci, rosły potrzeby, a władza nakładała podatki i trzeba było realizować obowiązkowe dostawy. Rzeczywistość była szara, ale młodość i spokój dawały nadzieję. Po jakimś czasie zaczęły przychodzić paczki z zagranicy. To dawna gospodyni Marii, Irena, starała się jej pomóc. W 1970 roku dawna pani z gorzelni przyjechała do Objazdy i spotkała się z Marią i Feliksem oraz ich rodziną w domu, który pamiętała sprzed wojny.

Feliks Kozub zmarł w lutym 1972 roku. Formalności związane z zawarciem małżeństwa Maria załatwiała po śmierci męża. Takie były czasy, zupełnie nieurzędowe. Dlatego również prowadzone przez sołtysa księgi pozostały w prywatnym archiwum. W 1984 roku w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia odeszła Maria. Zamknęła się ich historia.

Moja rozmówczyni szuka w przeszłości dopełnienia losów własnej rodziny, dlatego planuje przyjazd do Objazdy z młodszą siostrą matki, dawną mieszkanką Objazdy. Nie spotkają Marii i Feliksa, ale mogą się spotkać z jego synem i wnukami. Świat stał się mniejszy, zniknęły mury i zasieki i niech tak zostanie.

Czesława Długoszek, Objazda



Płynie w nim słona krew...

Silny wiatr i wysokie fale to jego sprzymierzeńcy, a wyścig z czasem i drugim człowiekiem to chleb powszedni. Zwieńczeniem ciężkiej pracy jest zawsze udany połów niezapomnianych wrażeń. Deska z latawcem to talizman, z którym płynie na fali zwycięstw przez swe młode życie... Z Maksymem Żakowskim – zawodnikiem Młodzieżowego Klubu Regatowego Tramp w Mielnie, sześciokrotnym Mistrzem Polski i Wicemistrzem Świata Juniorów w kitesurfingu – rozmawia Wiktor Woronin.

- Maks, powiedz jak zaczęła się twoja przygoda z kitesurfingiem?

- Jeszcze długo przed kitesurfingiem pasję do sportów wodnych zaszczeplił we mnie mój tata. Wszystko zaczęło się od żeglarstwa, które uprawiałem już dziesięć lat. W wieku 17 lat skończyłem moją przygodę z żaglami, by po raz pierwszy spróbować kitesurfingu.

- Czy był w twoim życiu ktoś, kto w szczególny sposób przyczynił się do twojej obecnej pasji?

- Mówią, że każdy uczeń ma swojego mistrza. Moim był dziadek - pierwszy kitesurfer w rodzinie. To on nauczył mnie podstaw tego sportu i przez pewien czas mnie szkolił. Śmiało mogę powiedzieć, że to właśnie dzięki dziadkowi i tacie połknąłem bakcyli pływania na desce.

- Czy ja, jako szczupły i dość wysoki jedenastolatek, mógłbym uprawiać

kitesurfing? Czy są jakieś ograniczenia wiekowe, wagowe lub wzrostowe w tej dyscyplinie sportu?

- Nie tyle wiek, co waga jest wyznacznikiem i ograniczeniem do uprawiania kitesurfingu. Minimum wagowe, od którego można rozpocząć naukę, to około 35 kilogramów.

- Nadal kitesurfing jest w Polsce dość egzotyczny. Słyszysz się nazwy: kitesurfing, kiteracing, kiteboarding, kitefoiling. Wyjaśnij, o co w tym wszystkim chodzi?

- Kitesurfing to sport wielowymiarowy, istniejący w wielu odmianach. Można pływać na różnego rodzaju latawcach i deskach. Można pływać na falach, skakać i wykonywać ewolucje w powietrzu, ścigać się, bić rekordy prędkości czy spokojnie cieszyć się z normalnego pływania bez żadnych szaleństw. Kiteboarding to inna nazwa kitesurfingu, odnosząca się do wszelkich jego

odmian. Kiteracing to wyścigi na desce z latawcem i właśnie w tym się specjalizuję. Kitefoiling polega na pływaniu na specjalnej desce, do której przymocowane jest hydroskrzydło, dzięki któremu unosi się ona nad wodą.

- Dlaczego zdecydowałeś się na „latawiec”? Co ten „kite” ma takiego w sobie, że cię pochłoniął?

- Kitesurfing to młodszy kolega windsurfingu i cały czas bardzo dynamicznie się rozwija. Myślę, że to właśnie dlatego wybrałem tę dyscyplinę. Na pewno spróbuję jeszcze w życiu windsurfingu, ale na to przyjdzie odpowiedni czas.

- Z twojej wielkiej pasji zrodziły się liczne sukcesy. Wicemistrzostwo świata ucieszyło pewnie bardziej niż wszystkie inne trofea, które zdobyłeś do tej pory?

- Pasja jest podstawowym czynnikiem do osiągnięcia sukcesów. To dzięki

niej zaczynamy wkładać całe serce w to, co robimy. Bez pasji nie ma mowy o zwycięstwie. Oczywiście jest w tym też wiele ciężkiej pracy, ale to właśnie pasja jest motorem i motywacją do wyznaczania sobie celów, i do ich realizacji. Wicemistrzostwo świata juniorów zdobyłem pięć lat temu i jest to sukces, który miło wspominam. Po nim nie spocząłem na laurach, wyznaczyłem sobie kolejne cele, do których cały czas dążę. Obecnie moim największym wyzwaniem jest zdobycie medalu igrzysk olimpijskich. Kitesurfing po raz pierwszy zadebiutuje na igrzyskach w 2024 roku. Miał być już na igrzyskach w Londynie w 2012 roku. Został wtedy oficjalnie ogłoszony nową dyscypliną, ale nie wprowadzono go do programu igrzysk. Nie ukrywam, że trochę podcięło mi to skrzydła.

- Jak się domyślam, chciałbyś zdobyć tytuł mistrza świata, a medal olimpijski byłby spełnieniem twoich kitesurfingowych marzeń?

- W tym roku skończyłem 26 lat, młody już nie jestem. Ambicja jednak pozostała we mnie młodzieńcza, a nawet zaryzykowałbym stwierdzenie, że z wiekiem jej przybywa. Medale igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata chciałbym zdobyć. Ale nie tylko medale i nagrody motywują. Uwielbiam rywalizację i samo dążenie do celu jest już dla mnie tym, co sprawia mi już przyjemność. Sport jest, niestety brutalny, łatwo o kontuzję, która potrafi przekreślić wszystkie plany i marzenia. Wiele może się wydarzyć. Nawet, jeśli nie osiągnę tego, czego pragnę, to i tak będę zadowolony.

- Wspominałeś, że tata i dziadek mieli ogromny wpływ na wybór twojej drogi sportowej. A jak na twoją pasję patrzy reszta rodziny? Kitesurfing to sport prawie ekstremalny?

- Cała moja rodzina jest wyrozumiała i bardzo mnie wspiera. Oczywiście kitesurfing nie jest sportem tak bezpiecznym jak szachy czy tenis, ale nie przypisywałbym mu miana sportu ekstremalnego. Przy zachowaniu zdrowego rozsądku i przestrzeganiu podstawowych zasad bezpieczeństwa, nic złego nie powinno się wydarzyć.

- Uprawiając kitesurfing bardzo dużo podróżujesz. Czy nie koliduje to z twoimi studiami?

- Podróże to nieodłączna część życia każdego sportowca. Jest to też jedna z moich pasji. Oczywiście stanowi ona pewien problem. Właśnie z tego powodu wybrałem uczelnię i taki tryb

studiów, które na to pozwalają. Przez pięć lat studiowałem w Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku. Indywidualna organizacja zajęć umożliwiła mi łączenie sportu i edukacji. Po ukończeniu AWF-u zdecydowałem się w trybie internetowym studiować informatykę. Dzięki temu trybowi mogę realizować plan zajęć w dowolnym miejscu na ziemi. Obecne studia traktuję jako alternatywę na wypadek odejścia od sportu.

- Gdzie najbardziej lubisz surfować, w rodzinnym Mielnie, w Zatoce Puckiej czy może na cieplejszych morzach świata?

- Na pewno Morze Bałtyckie, niezależnie od pory roku, jest jednym z takich miejsc. Choć warunki na nim nie są wymarzone, to ma coś magicznego. Być może jest to też kwestia sentymentu, bo na Bałtyku stawiałem pierwsze kroki. Dobrze zapisały się w mojej pamięci także starty na wodach Tajlandii, Australii, południowego wybrzeża Hiszpanii, Lanzarote oraz małej wyspy San Andres na morzu Karaibskim.

- Czy kiedykolwiek pojawiła się w twoim życiu myśl o porzuceniu kitesurfingu?

- Wydawać się może, że styl życia, który prowadzę, obfituje w same przyjemne chwile, ale tak nie jest. Dużym problemem jest czynnik finansowy. Spełnianie marzeń to jedno, a zdobycie pieniędzy na ich realizację, to drugie. Kitesurfing nie jest tak popularnym i opłacanym sportem, jak na przykład piłka nożna. Uprawiając go nawet na poziomie światowym, niemożliwe jest uzyskanie płynności finansowej, która pozwoliłaby na spokojne i godne życie. Z tego powodu często mam wątpliwości, czy kontynuować swoją sportową pasję? Liczę się z tym, że pewnego dnia moja przygoda się skończy, ale - jak wiadomo - każdy koniec jest początkiem nowego. Póki mam możliwości, dalej rywalizuję. Nawet po zakończeniu działalności sportowej nie zrezygnuję całkowicie z kitesurfingu. Zawsze będzie ciągnęło mnie do morza.

- Do jakich zawodów obecnie się przygotowujesz?

- Do Mistrzostw Świata i Europy, czyli dwóch najważniejszych zawodów. W tym roku w połowie sierpnia odbędą się Mistrzostwa Europy w Kołobrzegu i wtedy szczególnie chciałbym zaprezentować się przed swoimi kibicami z jak najlepszej strony.

**Rozmawiał: Wiktor Woronin
Słupsk**

Pisałem już kiedyś o tym krótko w artykule pt. „Bawaria przyciąga Polaków” (PS nr 9-10/2017 r.). Po powrocie do Polski rozpocząłem na Pomorzu poszukiwania rodowodu św. Doroty z Mątówów, jej mistycznego powołania i życia pełnego oddaniu Bogu. Przybliżyłem zatem tę wyjątkową postać czczoną w Kościele w Polsce jako błogosławioną, a przez Kościół w Niemczech jako świętą. Jednocześnie mogę podać, iż odnalazłem na Pomorzu dwie parafie i dwa kościoły pod wezwaniem bł. Doroty z Mątówów: w Gdańsku i Elblągu.

Rodowód Doroty

Pochodzenie rodziców Doroty nie jest do końca wyjaśnione. Urodziła się w 1347 roku we wsi Groß-Montau (Mątowy Wielkie) położonej około 16 kilometrów na zachód od Malborka w kierunku Gdańska. Była siódmym dzieckiem z dziewięciorga rodzeństwa. Rodzicami byli koloniści z Niderlandów, ojciec Wilhelm Schwartz (lub Swartz, Swarcze, Swarze, występuje też w archiwalnych zapisach jako Bauern Willem Swarte) i jego żona Agata. Pisarz niemiecki związany z Gdańskiem Günter Grass stwierdza, że rodzicami Doroty byli Wilhelm i Agata Swarze z Dolnej Saksonii. Według jeszcze innych źródeł Agata była Polką, a Wilhelm - Niemcem. Kronika odnotowuje, że Dorota została ochrzczona 6 lutego, w dzień pamięci patronki św. Doroty z Cezarei. W zapiskach jej spowiednika Jana z Kwidzyna, Dorota została ochrzczona w dwa dni później: „Pośród tych dzieci była ona siódma, ochrzczona 8 lutego, jednocześnie odnotowuje się jej doskonale wychowanie w cnotach.”

Religijne i dorosłe życie przyszłej świętej

Od najmłodszych lat Dorota wiodła życie religijne i pokutne. Mając sześć lat otrzymała dar ukrytych stygmatów i chciała rozpocząć życie zakonne. Kronikarze odnotowują, że w środę popielcową, 6 lutego 1353 roku przystąpiła do pierwszej spowiedzi, a w Wielką Sobotę, 8 kwietnia 1357 roku - do pierwszej komunii świętej. Jeden z jej braci został kapłanem. W dorosłe życie weszła bardzo szybko. Piętnastego sierpnia 1363 roku, mając 16 lat, już po śmierci ojca (1290 - 1359) i pod naciskiem najstarszego brata, posłubiła starszego

Mistyczka z Pomorza

W centrum Monachium natrafiłem na kościół jezuicki p.w. św. Michała, gdzie w kaplicy św. Urszuli, w filarze odnalazłem święte relikwie, należące do największej niemieckiej mistyczki, Doroty von Montau, żyjącej w latach 1347 – 1394, Kaszubki urodzonej w posiadłości ziemskiej w okolicach Gdańska.



Fot. Polimer / wikipedia.org

od siebie o ponad dwadzieścia lat mieszczanina gdańskiego o imieniu Adalbert - w zapiskach występuje również jako Albrecht lub Albert, czyli Wojciech o nazwisku Swertvegera lub Swertfegera.

W powieści Grassa mąż Doroty nazywa się Slichting, z którym miała dziewięcioro dzieci i zamieszkała w Gdańsku w kamienicy przy ulicy Długiej pod obecnym numerem 64. Małżeństwo nie było udane, mąż niekiedy dopuszczał się przemocy fizycznej wobec żony, próbując zmienić jej ekscentryczny tryb życia. Był wystawiany na pośmiewisko przez płatnerzy i sąsiadów za zachowanie żony, dlatego usiłował zmienić jej przyzwyczajenia i utrudniał jej uczęszczanie na mszę świętą oraz praktykowanie skrajnych ćwiczeń ascetycznych kosztem domowych obowiązków.

W czasie panującej w 1373 roku epidemii zmarło ich troje dzieci, a w 1382, również w wyniku zarazy, kolejnych pięcioro. Fakty te miały wpływ na dalsze zachowanie Doroty i jej męża. Życie upływało im w zmartwieniach i niepokoju. Pierworodnym ich dzieckiem była urodzona w październiku 1366 roku córka Agata - imię to nadano jej na cześć

matki. W wieku piętnastu lat, w 1381 roku wydano ją za mąż, jednak zmarła młodo doczekawszy się tylko córki Getrudy, która wybrała życie zakonne. Następna epidemia dżumy z 1382 roku pochłonęła rodziców Getrudy, ona sama przeżyła i została oddana do klasztoru benedyktynek w Chełmnie. Jerzy Domasłowski z Instytutu Historii UAM w Poznaniu uważa jednak, że należałoby poprawnie napisać, że Gertruda trafiła do klasztoru cysterek, ponieważ w 1429 roku wydano ostatni dokument określający zakonnicę z Chełmna jako cysterkę.

Krzyżacki Kwidzyn i życie Doroty mistyczno-ascetyczne

Życie Doroty po stracie dzieci było trudne i szukała miejsca dla siebie. Odbiła z mężem kilka pielgrzymek do różnych sanktuariów w Europie, a po jego śmierci 22 maja 1391 roku udała się po raz pierwszy i na krótko do Marienwerder - dzisiejszego Kwidzyna. Z Krzyżackim Kwidzynem związała się do końca życia. Jaki był ówczesny Kwidzyn położony w państwie Krzyżackim? Był niedużym miastem i siedzibą nie istniejącej już diecezji pomezjańskiej. Do kościoła katedralnego przylega do dziś potężny zamek obronny, który został wzniesiony przez kanoników kapituły katedralnej. Mimo że Kwidzyn należał do państwa Krzyżaków, zarządzili nim lokalni biskupi, którzy oddawali im dwie trzecie zebranych podatków. Ciekawostkę stanowi podziwiana, jako wyjątek architektoniczny, wysoka wieża zbudowana na estakadzie z cegieł i powiązana krytym, wąskim gankiem - z krużgankiem z częścią centralną zamku. Wieża zwana gdańskim służyła do dwóch funkcji zamkowych. Stanowiła punkt obronny zamku, jest połączona z długim na 55 metrów gankiem, wspartym na potężnych filarach. Ganek ten jest uważany w Europie jako najdłuższy, prowadzi do wieży ostatecznej obrony. Gdańsko miało też funkcję zamkowej ubikacji. Płynący pod wieżą cieki wodny zabierał nieczystości daleko od zamkowej fortecy.

Znamienna jest data 30 września 1391 roku w życiu Doroty. Po otwartym

konflikcie z gdańskimi władzami kościelnymi - na stałe osiadła w Kwidzynie. Początkowo umieszczono ją w przytułku, potem została przygarnięta przez mieszkankę kwidzyńską, Matheę Quodemosse, by ostatecznie wynająć komórkę u Katarzyny Mulner. W Kwidzynie spowiednikiem Doroty został dawny dziekan wydziału teologii na uniwersytecie w Pradze, Jan z Kwidzyna. Poprzedni spowiednicy, nie rozumiejąc potrzeb duchowych Doroty, a krzyżacki dziekan kapituły, Jan z Kwidzyna, szybko uznał ją za mistyczkę dużej miary; swoją charyzmą i ascezą przypominała szkołę mistyczno-ascetyczną Niderlandów. Wbrew ówczesnym obyczajom Jan z Kwidzyna zezwolił Dorocie na częste przystępowanie do komunii świętej.

Dorota замуrowana w Katedrze w Kwidzynie i... zamknięta w pustelni

Przekazywany jest przez lata sensacyjny obraz - замуrowania żywcem 46-letniej kobiety. Scena jest pełna dramatyczności: „Zgrzytają murarskie kielnie, a zgromadzony tłum w napięciu obserwuje - w tym księża w ornatach i biskup Jan spowiednik kobiety, jak przybywa warstwa cegieł i замуrowana kobieta w środku staje się nie widoczna. Kobieta ma na imię Dorota i nie jest tym wydarzeniem przerażona, ponieważ jest замуrowana na swoją szczególną prośbę”.

Miało stać się to 2 maja 1393 roku w małej celi przylegającej do prezbiterium w kościele św. Jana w Katedrze w Kwidzynie ówczesnej diecezji pomezjańskiej na terytorium krzyżackim. Historycy jednak podważają ten przekaz. Materiały źródłowe, jak również ekspertyzy architektoniczne w obrębie rzekomej celi nie potwierdzają tych faktów i je wykluczają. Dzieło Jana z Kwidzyna dostarcza szczegółowego opisu pustelni tzw. rekluzorium. Była to wolnostojąca budowla położona poza katedrą, lecz w jej najbliższym otoczeniu. Została wybudowana z cegły i drewna, mogła być dodatkowo otoczona płotem. Do rekluzorium miał dostęp nie tylko spowiednik Doroty, czyli Jan z

Kwidzyna, lecz także pielgrzymi. Dorota spotykała się z nimi i udzielała rad potrzebującym. Pustelnia została urządzone ubogo: stół, krzesło, łóżko. Jak zapewnia Jan z Kwidzyna, Dorota rezygnowała z wody do obmywania twarzy, nie potrzebowała także ustępu, ponieważ cały pokarm był przez nią wchłaniany. W rekluzorium były trzy okna i dwa dodatkowe otwory w murze. Jeden z nich, zewnętrzny, jako szuflada służył do podawania pustelnicy pokarmów, a drugi, wewnątrz rekluzorium, do przyjmowania eucharystii. Ten drugi otwór musiał być na wysokości mniej więcej podbródka klęczącej rekluzy. Z przekazu Jana z Kwidzyna można wywnioskować, że jedno z okien wychodziło na wschód (z widokiem na katedrę), drugie - na zachód, a trzecie - na południe. Dorota zmarła we czwartek, 25 czerwca 1394 roku, w budynku pełniącym funkcję pustelni jako pustelnica, czyli rekluza. Jej pogrzeb odbył się 28 czerwca 1394 roku, w wigilię Apostołów Piotra i Pawła - była to niedziela.

Jan z Kwidzyna w swoim dziele „Żywot Doroty z Mątów” przedstawia opis ceremonii pogrzebowej i nabożeństwa żałobnego, które trwały do trzydziestu dni. „W pierwszych dwu dniach (...) były one tak bogate i uroczyste: co do stroju, co do wielości światła, co do wspierania ubogich, co do liczby i godności osób odprawiających i co do rozdawnictwa darów, że podobnych i równych przed tym dniem żadnej niewieście w kościele pomiezańskim nie wyprawiono”. W księdze siódmej, w rozdziale 29, Jan z Kwidzyna pozostawił potomnym informację na temat miejsca pochówku Doroty: „...ciało Boga umiłowanej, drogocenny skarb - książka Jan Mnich z Elbląga, osobiście złożył w ziemi w kaplicy, w której przodków, mianowicie biskupów, jest pochówek”.

Dorota z Mątów w świetle współczesnych badań

Kwidziński badacz Bogumił Wiśniewski uważa pustelnię Doroty z Mątów za pustelnię właściwą, która wraz z przedsionkiem, została zbudowana poza katedrą, po jej południowej stronie, czyli od strony miasta. Podobno do dzisiaj zachowały się deski z przedsionka rekluzorium i znajdują się one w katedrze kwidzińskiej. Kwidziński historyk sugeruje potrzebę dokonania odwiertów archeologicznych we wskazanych przez niego miejscach, aby sprawdzić obecność albo brak pierwotnych fundamentów pustelni. Ma on także nadzieję, że badania dendrologiczne potwierdzą, że

deski, które ma na myśli, rzeczywiście pochodzą z sieni kwidzińskiej rekluzy. Ciekawe badania archeologiczne z 2008 roku przeprowadzone w katedrze w Kwidzynie przez naukowców z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu ujawniły pod posadzką prezbiterium grób, który może być, według jednej z hipotez, grobem Doroty z Mątów.

W maju 2015 roku ukazała się informacja przekazana przez Grzegorza Ojcewicz, który wraz z Czesławem Karkowskim wytypował miejsce, w jakim najprawdopodobniej pomezkański biskup Paul Speratus nakazał złożyć do grobu ziemnego, wyniesione z katedry około 1544 roku, relikwie św. matki Doroty z Mątów.

Dorota z Mątów w literaturze i legendach

Dorota z Mątów była pierwowzorem Aldony opisanej przez Adama Mickiewicza w powieści poetyckiej „Konrad Wallenrod”. Tamta Aldona została zamurowana w wieży zamku w Malborku, ponieważ wskazała Wallenroda, jako „tego, który <ich> zniszczy” i w ten sposób przyczyniła się do wybrania go na Wielkiego Mistrza Zakonu. W 1410 roku po klęsce Zakonu Krzyżackiego pod Grunwaldem, Wielki Mistrz Zakonu Henryk von Plauen udał się do Malborka, by bronić zamku. Zorganizował obronę, a następnie oddał się modlitwie, prosząc błogosławioną Dorotę, by uchroniła Malbork przed rycerstwem polsko-litewskim i wojskami sprzymierzonymi. Dorota ukazała się mu we śnie, w noc poprzedzającą przybycie wojsk króla Władysława Jagiełły i obiecała, że uchroni Malbork od zdobycia, za cenę tego iż... ciało von Plauena nie spocznie w Malborku i przez następne 600 lat miejsce jego pochówku będzie nieznane. Nadejście jednak dzień, kiedy następca Wielkiego Mistrza przybędzie na wezwanie Błogosławionej Doroty i z należytą godnością uczci pamięć poprzedników.

Wspomniany już Günter Grass w drugim rozdziale powieści „Turbot” (Der Butt) z 1977 roku (polskie wydanie z 1995 r.) zatytułowanym „W drugim miesiącu” przedstawił charakterystyczne momenty z życia Doroty Swarze - panny i Doroty Slichting - mężatki w jednej osobie. Autor - narrator przyjął na siebie rolę męża Doroty, Albrechta Slichtinga, i przeniósł się ze współczesności do „rozkwitłego goetyku”, by w sposób niekorzystny dla Doroty z Mątów zilustrować historię ich trudnego związku. Pisarz Gunter Grass zawarł również uwagi krytyczne dotyczące świętości Doroty.

Duchowość świętej Doroty, jej patronat w kościele i znaczenie

Duchowość Doroty przypomina duchowość devotio moderna i św. Brygidy Szwedzkiej. Wspomniany Jan z Kwidzyna spisał jej objawienia w dwóch dziełach w formie dialogu: „Confessiones” i „Apparitiones”. Napisał także traktaty o jej życiu i duchowości: „Septilium i Liber de festis”. Bł. Dorota znana jest także z krytyki upadku moralnego zakonu krzyżackiego i osoby Konrada Wallenroda. Błogosławiona Dorota jest patronką Prus i Pomorza, kobiet, matek, hutników - odlewników, latarni i różańca. Jej wspomnienie liturgiczne obchodzone jest w Kościele rzymskokatolickim w dzieńną pamiątkę śmierci, czyli 25 czerwca. Wspominana jest też w niektórych diecezjach niemieckich oraz przez zakon krzyżacki. W polskim Kościele katolickim ma rangę wspomnienia obowiązkowego w archidiecezji gdańskiej i warmińskiej oraz diecezji elbląskiej. Jej beatyfikacja i kanonizacja odbyła się 9 stycznia 1976 roku. Papież Paweł VI podpisał dekret Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych zatwierdzający długotrwały kult Doroty z Mątów. Uroczystości dziękczynne z tej okazji odbyły się w Gdańsku, w Katedrze Oliwskiej 13 grudnia 1976 roku. Do głębokich czcicieli św. Doroty należy papież Benedykt XVI. Są jednak niepotwierdzone do dzisiaj dowody na to, że w 1999 roku lub w każdym innym, Joseph Ratzinger jako ówczesny prefekt Kongregacji Nauki i Wiary odbył podróż do Kwidzyna i wówczas w kaplicy błogosławionej Doroty z Mątów modlił się przed jej wizerunkiem.

* * *

Zachęcam do pielgrzymowania do kaplicy i grobu św. Doroty z Mątów, znanej od średniowiecza z ukazywanych cudów. Można w Katedrze w Kwidzynie zwiedzać miejsce, gdzie święta dała się zamurować. Jednocześnie polecam muzeum urządzone w zamku i unikalną wieżę zwaną gdanisko. Natomiast w kościele katedralnym jest pochowanych dwóch wielkich mistrzów krzyżackich.

Prosi się dodać: czcimy wielką mistyczkę europejską św. Dorotę z Mątów, uważaną za błogosławioną i świętą przez dwa narody - polski i niemiecki. Ze względu choćby na sam szacunek do historii.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Przy pisaniu tego tekstu korzystałem z informacji zamieszczonych na stronie internetowej Rzymskokatolickiej Parafii p.w. św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie.



SADZENIE ZIEMNIAKÓW W GMINIE POTĘGOWO

MAJ 2020



FUNDUSZ DRÓG SAMORZĄDOWYCH

EDYCJA 2020

www.powiat.slupsk.pl



POWIAT
SŁUPSKI

50%

PRZEBUDOWA DROGI POWIATOWEJ nr 1112G

- na granicy Miasta Ustka i Gminy Ustka

50%

PRZEBUDOWA DROGI POWIATOWEJ nr 1179G

- od DK6 do DW213 z podziałem na odcinki

75%

PRZEBUDOWA DROGI POWIATOWEJ nr 1157G

- Łosino - Barcino - etap 3 końcowy

75%

PRZEBUDOWA DROGI POWIATOWEJ nr 1123G

- od m. Smółdzino w kierunku DW213

ponad 16,5 mln zł



DOFINANSOWANIE Z FUNDUSZU
DRÓG SAMORZĄDOWYCH